

Zdzisław M. Rurarz

Na kolejnym zakręcie

Wydawnictwo WICI
1998

NA KOLEJNYM ZAKRĘCIE

Uwagi wstępne

Na przestrzeni ostatnich 80-ciu lat Polska przeszła przez cztery zakręty dziejowe.

Pierwszym było odzyskanie niepodległości w 1918 r. i stworzenie II Rzeczypospolitej.

Drugim i katastrofalnym zakrętem dziejowym był okres II wojny światowej.

Trzecim, konsekwencją drugiego, było wejście na drogę wszechstronnej integracji z ZSRR i innymi krajami „wspólnoty socjalistycznej”.

Czwarty z kolei zakręt dziejowy odbywa się na naszych oczach, z niewiadomym jeszcze wyjściem z niego. Odziedziczony po trzecim zakręcie całokształt układów wewnętrznych i zewnętrznych zniknął, albo prawie zniknął, a na jego miejscu tworzy się nowy, niezbyt jeszcze czytelny, mimo nadania mu już określonego „ideologicznego kierunku”.

Podobnie jak w niedalekiej przeszłości, kiedy to z istniejących układów, satelickich w swojej treści, czyniono polską rację stanu, choć nie mającą sankcji większości narodu, tak teraz tworzenie nowych, mających taką sankcję, ale również satelickich w swojej treści, znowu mianuje się, niestety, polską racją stanu.

I ten fakt właśnie jest **niepokojącym** objawem stanu polskich umysłów, zwłaszcza elit rządzących. Ongiś, w czasach PRL, w warunkach quasi-niepodległości i quasi-suwerenności, „satelicki model” był jeszcze zrozumiały. Ale dziś, w warunkach podobno pełnej niepodległości i suwerenności, skąd ten zgodny pęd, niemal **wszystkich** liczących się sił politycznych, do dobrowolnego wyzbywania się ich w imię, bliżej niesprecyzowanej, polskiej racji stanu? W pędzie tym dziwi szczególnie entuzjizm polskiej lewicy, która, pomijając już czasy peerelowskie, do drugiej połowy 1993 r. nie tylko go nie miała, ale była niechętna idei akcesji do NATO i Unii Europejskiej.

Czyżby w grę wchodziła „tajnopajęczynowa infrastruktura”, która swoją rację bytu utożsamia z polską racją stanu?

Co gorsza, w czasach PRL hasłem wywoławczym były „przyjaźń, pomoc i przykład ZSRR”, podczas gdy obecnie jest nim „przyjaźń, pomoc i przykład Zachodu”, głównie dwóch jego czołowych instytucji, NATO i

Unii Europejskiej.

Czy takie właśnie branie kolejnego zakreślenia dziejowego Polski jest rzeczywiście nieuniknione w istniejących realiach polskich oraz światowych i najwłaściwsze ze wszystkich możliwych?

Dlaczego wreszcie, sprawy tak żywotnie ważne dla egzystencji Narodu i Państwa Polskiego, decydowane są **pod nieobecność** pogłębionej dyskusji wśród szerokich kręgów społeczeństwa, a nawet wśród elit rządzących?

Z „kompleksowej i przyspieszonej integracji” z Zachodem uczyniono akt wiary, tabu, nad którym jakoby nie wypada debatować.

A Polacy, niestety, ci u władzy i ci poza nią, środowisk polonijnych nie wyłączając, urzeczeni swoim „nowym cudem”, wiarą w swoją wyjątkowość i w bezinteresowną pomoc Zachodu, przypominają płasające choćby Wyspiańskiego, które zbudzą się kiedyś i zmądrzeją, ale dopiero po szkodzi, jak zawsze dotąd.

Niech więc poniższy głos, w nieistniejącej dyskusji na temat przyszłości Polski, zmusi przynajmniej do refleksji nad dokonywanymi czynami, jeśli już są one naprawdę nieuniknione.

1. NATO (Organizacja Paktu Północnoatlantyckiego)

NATO, poza wyjątkiem Turcji, jest czołowym symbolem Zachodu.

Stąd też akcesja Polski, kraju cywilizacyjnie zachodniego, do „zachodniego” NATO, jest z tych właśnie względów wydarzeniem nie tylko logicznym, ale także obecnie **najważniejszym** dla znacznej większości Polaków w kraju i tych rozsianych po świecie.

Czy dokonywany krok, popierany przez ponad 3/4 narodu, jest jednakże przemyślany od początku do końca?

No cóż, wiedza o NATO nie tylko przeciętnego Polaka, ale często władz polskich i polonijnych, jest i nierzadko wypaczona. Powodem tego było demonizowanie NATO w PRL przez całe dziesięciolecie, a po powstaniu III RP dla odmiany jego bezkrytyczne wychwalanie. Z formalnego punktu widzenia, 710-milionowe NATO jest istotnie imponującą organizacją. Mając tylko 12 procent mieszkańców globu ziemskiego, na kraje NATO przypada ok. 1/2 produkcji światowej. Obszar ten jest także centrum handlowym, finansowym i naukowym świata.

NATO wreszcie, wydając na swoją obronę ok. 450 miliardów dolarów rocznie, wydaje znacznie więcej niż pozostały świat razem wzięty. W swoich szeregach NATO ma ponadto trzy mocarstwa nuklearne, w

tym jedno supermocarstwo.

Nade wszystko jednak, NATO jest **symbolem** Zachodu ze względu na wyznawanie określonego systemu wartości, którym jest demokracja parlamentarna i gospodarka wolnorynkowa.

Nie należy jednak zapominać, że NATO **nie obejmuje** wszystkich krajów zachodnich. Japonia, druga w świecie potęga gospodarcza, nie jest jego członkiem, podobnie jak nie są Australia, Austria, Finlandia, Irlandia, Nowa Zelandia, Szwajcaria i Szwecja.

I wreszcie, Traktat Waszyngtoński z 4 kwietnia 1949 r., powołujący do życia NATO, miał u swoich podstaw określoną sytuację polityczno-wojskową w ówczesnej Europie, w podzielonych Niemczech w szczególności, sytuację nie mającą **nic** z obecną. W czasie powstawania NATO bowiem, od 24 czerwca 1948 r. do 9 maja 1949 r., trwała lądowa blokada Berlina przez wojska sowieckie. Ilość wojsk sowieckich ponadto, tylko we wschodnich Niemczech i Polsce, w bezpośredniej bliskości Europy Zachodniej, obliczano wtedy na ok. 1 milion żołnierzy i oficerów. Wojska te były bez przerwy modernizowane i szkolone do działań ofensywnych. Za Bugiem liczebność tych wojsk oceniano na ok. 4 miliony.

W Europie Zachodniej zaś, wojsk amerykańskich było tylko ok. 170 tysięcy, wojsk zachodnioniemieckich jeszcze nie było, podczas gdy armia francuska była w znacznym stopniu zaangażowana w wojnę indochińską i strzeżenie zamorskich terytoriów. Podobnie było z armią angielską, drastycznie zredukowaną i również zaangażowaną głównie w zamorskich krajach imperium. Armia włoska była w powijakach, hiszpańską uważano za faszystowską, a inne nie liczyły się praktycznie.

Próba zaradzenia istniejącej sytuacji własnymi siłami, poprzez utworzony w 17 marca 1948 r. zachodnioeuropejski sojusz wojskowy, Pakt Brukselski, złożony z Anglii, Francji, Holandii, Belgii i Luksemburga, nie był żadną zaporą przed ewentualną agresją ZSRR i jego satelitów. Obrona Europy Zachodniej własnymi siłami zatem, wówczas jeszcze pod nieobecność angielskiej i francuskiej broni nuklearnej, była więc **niemożliwa** bez aktywnego włączenia się do niej USA.

USA, na szczęście dla Europy Zachodniej, postanowiły włączyć się do jej obrony, czego rezultatem było powstanie NATO, początkowo obejmujące 12 krajów, rozszerzając się z czasem do 16-tu. Członkami-założycielami były: Anglia, Belgia, Dania, Francja, Holandia, Islandia, Kanada, Luksemburg, Norwegia, Portugalia, USA i Włochy. W 1952 r. do NATO przystąpiły Grecja i Turcja, w 1955 r. Niemcy Zachodnie, a w 1982 r. Hiszpania.

Szansę obrony Europy Zachodniej po powstaniu NATO polep-

szyły się co prawda dramatycznie, zwłaszcza po przybyciu na jej terytorium dodatkowych, w stosunku do już tam stacjonowanych, kontyngentów wojsk amerykańskich, wyposażonych w broń atomową.

Mimo tej poprawy, sytuacja była nadal niepokojąca.

W dniu 25 września 1949 r. bowiem, ZSRR wszedł w posiadanie broni atomowej, a 8 sierpnia 1953 r. broni wodorowej. Od 1948 r. miał rakiety balistyczne, a po wystrzeleniu Sputnika 4 października 1957 r. stało się jasne, iż miał również ciężkie rakiety międzykontynentalne, wkrótce już wielogłowicowe, zdolne sięgnąć terytorium USA.

Powyższe wydarzenia, w sytuacji nasilającego się wyścigu zbrojeń, radykalnie **zmieniły** istniejący wówczas układ sił w świecie. W ewentualnej III wojnie światowej, liczyły się bowiem tylko dwa kraje, zwane potocznie supermocarstwami, USA i ZSRR, z pozostałymi odgrywającymi rolę jedynie marginesową. Dla ilustracji panującej wówczas sytuacji warto przypomnieć, że oba supermocarstwa, na przełomie lat 1970-ch i 1980-ch, posiadały po ok. 11 tysięcy nuklearnych głowic każde, podczas gdy dla zniszczenia przeciwnika potrzeba było nie więcej niż 200-300 (sowiecki arsenał nuklearny ze względu na większą moc wybuchową głowic oraz znacznie większą ilość taktycznej broni nuklearnej, był zdolny zabić każdego mieszkańca globu ziemskiego 30 razy, podczas gdy amerykański „tylko” 16 razy...).

Ten stan rzeczy, jak też postępujące odprężenie międzynarodowe po śmierci Stalina, postawiło NATO w obliczu nowych dylematów, nie przewidzianych przy jego tworzeniu. Europejscy jego członkowie bowiem, w związku ze zmianą sytuacji, zaczęli nie wypełniać swoich zobowiązań dla podnoszenia zdolności bojowej kolektywnej obrony w siłach konwencjonalnych, wywiązując się z nich zaledwie w połowie. USA znalazły się w konsekwencji tego w trudnej sytuacji. Przy niedostatku konwencjonalnych sił do odparcia agresji, USA musiałyby użyć w obronie Europy Zachodniej broni nuklearnej, ryzykując zmasowaną sowiecką ripostę przeciwko własnemu terytorium. W dodatku, pojawiły się nowe komplikacje, gdyż Francja, od 1960 r. posiadająca broń atomową, a od 1966 r. wodorową, nie wierząc w obronę Europy Zachodniej przez USA, wycofała się z „wojskowej struktury” NATO, najważniejszej jego części, pozostając tylko w jego „strukturze politycznej”. Wycofując się ze „struktury wojskowej” NATO, co gorsza, Francja zażądała też opuszczenia jej terytorium przez wojska amerykańskie, co znacznie skomplikowało tzw. głębłą operacyjną NATO.

Ponadto, zarówno Francja, jak i Anglia, która również w międzyczasie stała się mocarstwem nuklearnym, deklarowały użycie broni



ZADAMY -
DEMOKRATYCZNIE
DLA KAŻDEGO TYL
SAMO!



nuklearnej **wyłącznie** w obronie własnego terytorium, oczekując jednocześnie od USA użycia broni nuklearnej w obronie terytorium całej Europy Zachodniej.

USA wreszcie, co stało się widoczne w czasie kryzysu kubańskiego w październiku 1962 r., na wojnę nuklearną z ZSRR **nie miały** z kolei najmniejszej ochoty, nawet w sytuacji zagrożenia ich własnego terytorium, a co dopiero mówić o zachodnioeuropejskim.

W konsekwencji tego, wytworzyła się „patowa sytuacja strategiczna”, która w miarę rozbudowy sowieckiego potencjału nuklearnego osłabiała chęć USA do wojny z każdym dniem, podczas gdy inni członkowie NATO, „nuklearnych” nie wyłączając, liczyli się niewiele (łączyli potencjał nuklearny Francji i Anglii równał się w granicach 1-2 procent sowieckiego potencjału nuklearnego).

Sytuacja ta, co gorsza, zaczęła z kolei potęgować **niewiarę** Niemiec Zachodnich w gotowość USA do obrony ich terytorium przed agresją Układu Warszawskiego. Istotnie, nie wchodząc w szczegóły, rozlokowanie wojsk USA w Niemczech Zachodnich w znacznym stopniu usprawiedliwiało taką niewiarę.

Tak więc, NATO, które dziś jest przedstawiane jako zwycięski i wyjątkowo udany w historii sojusz wojskowy, w rzeczywistości było zawsze w **bardzo trudnym** położeniu, pogarszającym się jeszcze z biegiem czasu.

Nic dziwnego więc, że NATO, które zresztą nigdy nie planowało żadnych działań ofensywnych przeciwko sowieckiemu blokowi, robiło **wszystko** co możliwe, żeby tylko ZSRR nie porwał się pierwszy na takie działania. A kiedy sytuacja na tym odcinku nieco zmieniła się, po decyzjach NATO z grudnia 1979 r. o rozlokowaniu w kilku krajach Europy Zachodniej amerykańskich rakiet Pershing II i Cruise, w odpowiedzi na sowieckie rakiety SS-20, to natychmiast, na wniosek Niemiec Zachodnich, USA przystąpiły do rokowań z ZSRR dla zażegnania groźnej sytuacji. Wynikiem tego było porozumienie USA-ZSRR z grudnia 1987 r., tzw. INF, o eliminacji rakiet średniego i krótszego zasięgu obu supermocarstw na tzw. europejskim teatrze wojennym. Porozumienie to było nie tylko oznaką nowego odprężenia w stosunkach Wschód-Zachód, ale praktycznie **wykluczeniem** wojny nuklearnej w Europie pomiędzy dwoma supermocarstwami.

Odtąd, prawdę mówiąc, NATO i Układ Warszawski stały się faktycznie **zbędne**, zwłaszcza po kolejnych jeszcze wydarzeniach. Jednym z nich, bardzo ważnym, było oświadczenie Gorbaczowa na forum ONZ w dniu 7 grudnia 1988 r. o jednostronnej i znacznej redukcji sił konwencjo-

nalnych ZSRR w Europie. Konwencjonalny i niespodziewany atak sowiecki na jej zachodnią część stawał się więc **coraz mniej** prawdopodobny, a jeszcze mniej nuklearny, po porozumieniu INF z 1987 r.

W klimacie spadku napięcia w stosunkach Wschód-Zachód, pokojowy charakter NATO zaczął ujawniać się teraz już w całej pełni. Zresztą, jeszcze w okresie „zimnej wojny”, nie mówiąc o czasach późniejszych, też tak było, ale propaganda w krajach bloku sowieckiego niezmiennie przedstawiała NATO jako potencjalnego agresora, gotowego do napaści w każdej chwili.

W rzeczywistości, było odwrotnie. Tak na przykład, jeszcze w 1949 r., tuż po swoim powstaniu, NATO deklarowało wolę „pokojowego współżycia” ze **wszystkimi** rządami i narodami. W 1953 r. wyszło z kolei z ideą rozwiązywania konfliktów „**pokojowymi środkami**”, podczas gdy w 1957 r. zaczęło głosić ideę **wyłącznie** „pokojowych przemian” w Europie.

W 1967 r. wreszcie, w tzw. Raporcie Harmela, NATO oświadczyło, iż jego „głównym celem politycznym” w Europie był „**sprawiedliwy i trwały pokój**”, któremu towarzyszyłyby „**odpowiednie gwarancje bezpieczeństwa**” wzajemnego.

Tak daleko idące oświadczenie nie uszło uwagi Moskwy, która odczytała go jako gotowość NATO do **włączenia się** w jakiś „ogólnoeuropski system bezpieczeństwa”. A ponieważ Moskwa, nie przywiązywała dużej wagi do Układu Warszawskiego, którego niesowieckie wojska, bez broni nuklearnej, razem wzięte miały tylko ok. 5 procent konwencjonalnej siły ogniowej wojsk sowieckich, więc **podjęła** natowską inicjatywę. W efekcie tego, jak zwykle krok po kroku, Moskwa przeszła do wielkiej „ofensywy polityczno-dyplomatycznej”, lansując koncepcję „bezpieczeństwa i współpracy w Europie”, do której zaliczała, początkowo przynajmniej, także Amerykę Północną. Celem tej ofensywy było „rozwodnienie” NATO, poprzez pozbawienie go „struktury wojskowej”, jak też zredukowanie liczebności wojsk USA w Europie Zachodniej, jeśli nie ich ewakuacji stamtąd w ogóle, co równałoby się jej faktycznemu odcięciu od amerykańskiego sojusznika.

Pierwszym efektem tej ofensywy był Akt Końcowy z Helsinek w sierpniu 1975 r., rozpoczynający **nowy etap** w konflikcie Wschód-Zachód, w swojej istocie już coraz bardziej polityczno-dyplomatyczny niż wojskowy, choć wtedy jeszcze nie było całkiem jasne czy celem Moskwy nie miało być jedynie uspienie czujności przeciwnika, „strategiczekij obman”.

Moskiewska „ofensywa polityczno-dyplomatyczna” nabrała rozmachu dopiero po dojściu Gorbaczowa do władzy w marcu 1985 r.

W dniu 29 września 1989 r. bowiem, sowiecki minister spraw

zagranicznych Eduard Szewardnadze, na spotkaniu z amerykańskim Sekretarzem Stanu James Bakerem, wyszedł z sensacyjną propozycją **jednoczesnego rozwiązania** NATO i Układu Warszawskiego.

USA nie poszły co prawda na sowiecką propozycję, ale ich reakcja na przemiany we „wspólnocie socjalistycznej” stała się odtąd niezwykle przychylna, co znalazło swój wyraz w pięciu wystąpieniach prezydenta Busha, wygłoszonych w okresie 17 kwiecień-31 maj 1989 r.

Przełomem w stosunkach Waszyngton-Moskwa jednakże, bez precedensu w ich historii, stał się szczyt Bush-Gorbaczow na Malcie w dniach 2-3 grudnia 1989 r., co znalazło natychmiast echo w „nowej polityce” NATO wobec Układu Warszawskiego. Udział prezydenta Busha w sesji Rady NATO, tuż po szczycie na Malcie, stał się **początkiem** serii pojednawczych i przyjaznych gestów ze strony Sojuszu, od „Apelu z Turnberry” Rady NATO z 7-8 czerwca 1990 r. poczynając, a na Karcie NATO-Rosja z 27 maja 1997 r. kończąc. Moskwa, widząc zdecydowanie pokojową reakcję NATO na dokonywane przez nią „przemiany”, postanowiła pójść jeszcze dalej, pozbywając się Układu Warszawskiego, poprzez rozwiązanie najpierw jego „struktury wojskowej” 1 lipca 1990 r., a potem „struktury politycznej” 23 grudnia 1992 r. (Układ, warto to przypomnieć, **nie** obejmował wojsk sowieckich, a jedynie wojska jego niesowieckich członków).

Zanim jednak świat dowiedział się o tym, Gyula Horn, węgierski minister spraw zagranicznych, składając wizytę w Bonn oświadczył 20 lutego 1990 r., że członkowie Układu Warszawskiego byłiby gotowi **przystąpić** do NATO!

Od tego momentu „rozpruł się” przysłowiowy worek z różnymi inicjatywami przystępowania do NATO ciągle jeszcze istniejącego, choć już chwiejącego się bloku sowieckiego.

Idea przystępowania bloku sowieckiego do NATO nie była nowa. Jeszcze w marcu 1954 r. ZSRR wyraził swoją gotowość przystąpienia do niego, co po dwóch miesiącach spotkało się z odmową USA i Anglii, ale pozostali członkowie NATO byli w tej sprawie mniej kategoryczni. Po tym epizodzie sprawa akcesji bloku sowieckiego do NATO, jak się to po latach okazało, nie zeszła z porządku dziennego moskiewskiej ofensywy polityczno-dyplomatycznej. Po Szewardnadze i Hornie przystąpiły do niej już czołowe osobistości Układu Warszawskiego. W dniu 16 maja 1990 r. bowiem, Gorbaczow oświadczył w Moskwie amerykańskiemu Sekretarzowi Stanu Bakerowi, że ZSRR **przystąpi** do NATO! Jelcyń z kolei, jako prezydent rodzącej się Rosji, zakomunikował Bakerowi 16 grudnia 1991 r. w Moskwie, że powstająca „struktura wojskowa” WNP, Wspólnoty Nie-

podległych Państw, po prostu ... „połączy się z NATO”!

Podobnych „odzywek” było znacznie więcej, polskiej, przy okazji szczytu Grupy Wyszehradzkiej w dniach 5-6 października 1991 r. w Krakowie, nie wyłączając.

Fakty te należy przypomnieć dlatego, żeby Polakom uświadomić, że na długo **przed** „ruszeniem NATO na wschód” - „Wschód ruszył do NATO”.

Co działo się potem w „polityce wzajemnych uśmiechów”, trudno opisać w kilku zdaniach. W kwaterze NATO bez przerwy gościły różne osobistości z Układu Warszawskiego, podczas gdy Sekretarz Generalny Sojuszu z kolei odbywał liczne podróże po stolicach wczorajszego przeciwnika.

Polacy powinni także wiedzieć, że jeszcze na długo przed zapowiedzią prezydenta Clintona z 22 października 1996 r. w Detroit o gotowości przyjęcia Polski, Czech i Węgier do NATO, w dniu 29 września 1994 r., na spotkaniu z Jelcynem, wyraził on gotowość przyjęcia ... Rosji w jego szeregach!

I kto wie co by było, gdyby Jelcyn przyjął propozycję, ale jej **nie przyjął**, pokrywając zaproszenie milczeniem...

Na marginesie tego wydarzenia należy przypomnieć jeszcze inne, poprzedzające szczyt Clinton-Jelcyn, a konkretnie wystąpienie prezydenta Clintona na szczycie NATO w Brukseli w dniu 10 stycznia 1994 r., przy okazji powoływania do życia Partnerstwa dla Pokoju. Partnerstwo, nowa instytucja w NATO, stwarzająca przedsięwzięcie do ewentualnego w nim członkostwa, Clinton określił jako otwarte dla **wszystkich**, Rosji nie wyłączając.

A tymczasem NATO zaczęło redukować swojej siły zbrojne. Jego filar, wojska amerykańskie, zostały zredukowane o 700 tysięcy, czyli o jedną trzecią, a ponadto zaczęły opuszczać Europę Zachodnią, zmniejszając swój stan z ponad 330 tysięcy do ok. 100 tysięcy, wywołując przy okazji za ocean swoją broń nuklearną. Moskwa z kolei, szczerze lub nie, pomyślnie NATO „rozszerzania się na wschód” oponowała. W odpowiedzi, NATO zabrało się do „studiowania” sprawy, przedkładając we wrześniu 1995 r. dość osobliwy raport. Osobliwy dlatego, że w jego 7-miu punktach **nie było** słowa o tym, na co nowi członkowie NATO, w tym Polska, mogliby liczyć w razie agresji, podczas gdy sporo mówiło się o tym co NATO będzie oczekiwać od swoich nowych członków.

Wreszcie, żeby Moskwę uspokoić, Francja zaproponowała, a wszyscy inni w NATO poparli ją, podpisanie z nią jakiegoś porozumienia, co skończyło się wspomnianą Kartą NATO-Rosja.

Po tym wydarzeniu, gdyby naprawdę „Polska była Polską”, to powinna przynajmniej **przemyśleć** sens przystępowania do NATO.

Widocznie jednak Rosja była **innego zdania** i Polska do NATO wchodzi, gdzie już faktycznie, choć jeszcze nieformalnie, jej wielki wschodni sąsiad postawił swoją nogę, z głosem bez porównania większym...

Jak dalece w związku z tym wydarzeniem zmieniła się sytuacja, warto zacytować z Karty NATO-Rosja następujące zobowiązania układających się stron:

„ ... NATO i Rosja będą **wspólnie** budować trwałe i powszechne pokój na obszarze Euro-Atlantyckim ... Wychodząc z zasady, że bezpieczeństwo wszystkich państw w europejsko-atlantyckiej wspólnocie jest niepodzielne, NATO i Rosja będą pracować **wspólnie**, aby przyczynić się do powstania w Europie **wspólnego** i powszechnego bezpieczeństwa ...” (podkreślenia moje).

NATO i Rosja utworzyły zatem coś w rodzaju „wspólnoty interesów”, która ma **zgodnie** współdziałać we wszystkich europejskich sprawach, w tym oczywiście także w polskich. Ustanowiona Rada NATO-Rosja bowiem, spotykająca się regularnie, jest wyposażona w daleko idące uprawnienia. Jeśli na przykład Polska zechciałaby poskarżyć się na Rosję na forum NATO, to **najpierw** skarga taka musiałaby trafić na forum Rady NATO-Rosja!

A w ogóle, to **niby dlaczego** Polska miałaby skarżyć się na Rosję na forum NATO? Przecież jednym z warunków jej przyjęcia do NATO miały być jej **bardzo dobre** stosunki właśnie z Rosją! Polska ze swej strony, starając się o wejście do NATO, robiła co mogła, albo tak musiała robić, aby nie pisać słówkiem, że ze strony Rosji może jej cokolwiek zagrażać!

Cel Moskwy „rozwodnienia” NATO został więc w znacznym stopniu osiągnięty. Utworzona 29 maja 1997 r. w Sintra w Portugalii EAPC, Euroatlantycka Rada Partnerstwa, do której obok 16 członków NATO wchodzi 28 członków NACC, Północnoatlantyckiej Rady Współpracy, z Rosją i Ukrainą na czele, uczyniła z dotychczas znanej Polakom instytucji autentyczną wieżę Babel. Ilość posiedzeń w NATO wzrosła bowiem aż 3-krotnie i szybko rośnie nadal.

Zmiana oblicza NATO nie była ani przypadkowa, ani żywiołowa.

NATO bowiem, wbrew pozorom, jest organizacją sojuszniczą o niezbyt jasnym profilu, nie rozgraniczając wyraźnie dwóch zbliżonych, ale **nie identycznych** pojęć, którymi są „kolektywna obrona” i „kolektywne bezpieczeństwo”. W okresie „zimnej wojny” akcent kładziono na „kolektywnej obronie”, podczas gdy obecnie, bez zmian w Traktacie Wa-

szyngeński, akcent przesunął się na „kolektywne bezpieczeństwo”.

Sekretarz Stanu Madeleine K. Albright na przykład, pisząc 15 lutego 1997 r. w brytyjskim tygodniku The Economist o „rozszerzeniu NATO na wschód”, o „kolektywnej obronie” **nie wspomniała** nawet słowem, pisząc wyłącznie o „kolektywnym bezpieczeństwie, którym byliby objęci nowi członkowie Sojuszu. Wynikałoby stąd, że ci nowi członkowie, a wśród nich Polska, mogliby faktycznie **nie być** objęci natowską „kolektywną obroną”!

Innymi słowy, NATO, rozbudowując swoje instytucje, niewątpliwie „rozgadnia się”, stopniowo jakby odchodząc przy tej okazji od swojej funkcji „kolektywnej obrony” i stając się organizacją „kolektywnego bezpieczeństwa”, w swej treści polityczną, a **nie** wojskową.

Czym więc naprawdę jest obecnie NATO i czym jeszcze będzie w przyszłości - nie wiadomo.

Rozwój sytuacji w Europie i świecie jest bowiem tego rodzaju, iż **nie jest** wykluczone zejście NATO ze sceny dziejowej w znanej dotychczas postaci, a na jego miejscu pojawi się jakiś „euro-atlantyczny system bezpieczeństwa”, od Vancouver do Władywostoku, który Rosja, przy udziale Francji, a ostatnio jakby i Niemiec, niezmordowanie lansuje od lat. USA z kolei, jak dotąd, nie mają jasnej wizji czym ma być „nowy ład” w świecie, którego narodziny zbyt pochopnie obwieściły w 1992 r.

Najgorsze zaś, że NATO nie bardzo wie co ma robić dalej. Nie na darmo sowieccy dyplomaci szeptali w niedalekiej przeszłości swoim natowskim kolegom, że „pozbowimy was wroga i zobaczymy co wtedy zrobicie...”

Rzeczywiście, niebezpieczeństwo sowieckiej agresji siłami konwencjonalnymi przeciwko Europie Zachodniej **zniknęło**, podczas gdy niebezpieczeństwo wojny nuklearnej **pozostało**, ale do jego zażegnania **nie** NATO jest konieczne, ale **partnerskie**, jeśli wręcz **nie sojusznicze** stosunki amerykańsko-rosyjskie. Od lat jest bowiem oczywiste, że w wojnie nuklearnej pomiędzy USA a ZSRR **nie może** być zwycięzców.

Moskwa z Waszyngtonem, mimo że dla postronnych obserwatorów, Polaków zwłaszcza, może to czasem wyglądać inaczej, robią więc wszystko co możliwe, żeby **uniknąć** nuklearnego starcia. Wojna zresztą, jak nauczał Clausewitz, jest tylko **jednym** ze środków osiągania celów politycznych. Zamiast więc iść na samobójczy konflikt zbrojny, Moskwa poszła, a Waszyngton to podjął, na rozegranie konfliktu środkami polityczno-dyplomatycznymi. Jest wreszcie **bardzo możliwe**, że USA i Rosja, zamiast tkwić w takim polityczno-dyplomatycznym konflikcie, staną się autentycznymi „strategicznymi partnerami”, antychińskimi, antyja-





pońskimi i ... antyeuropejskimi, co zresztą Francja nawet podejrzewa. Tym też prawdopodobnie należy tłumaczyć nową sensację, gdzie Francja wraz z Niemcami i Rosją zaczęła tworzyć „luksemburski trójkąt”, który Jelcyń, w marcu 1998 r., nazwał „osią” trzech państw. I jeśli tak istotnie potoczyłyby się sprawy, to NATO **straci** jakkolwiek sens istnienia, a jeszcze bardziej polskie w nim członkostwo.

Na temat przyszłości NATO krążą zresztą nieprawdopodobne plotki. Jedna z nich wymienia amerykańskie próby stworzenia z Izraela, Egiptu, Jordanii, Tunisu, Maroka, Mauretanii, Albanii, b. Jugosławii, Bułgarii, Rumunii, a może jeszcze Grecji, Turcji oraz niektórych b. azjatyckich republik sowieckich, jakiegoś „nowego NATO”, **przeciwważnego** dla Europy Zachodniej i Rosji.

Rzeczywistość, prawdę mówiąc, nawet bez tych plotek, nie wygląda różowo dla NATO. W jego szeregach pogłębia się **podział** pomiędzy USA z jednej strony, które coraz bardziej dominują uzbrojeniem, a europejskimi członkami Sojuszu, którzy, bez Anglii co prawda, chcą jego „europeizacji”, reaktywując stworzoną jeszcze we wrześniu 1948 r. UZE, Unię Zachodnioeuropejską.

Niebezpiecznie narasta też konflikt na południowo-wschodniej flance NATO, pomiędzy Turcją a Grecją, o Cypr i rozgraniczenie wód terytorialnych, co już raz doprowadziło między nimi do groźnego w skutkach kryzysu. Obecnie, jeśli Rosja wyposaży grecką część Cypru w rakiety przeciwlotnicze S-300, które Turcja zapowiada natychmiast zniszczyć, to kto wie jaki może być tego rezultat.

Najgroźniejszym w skutkach problemem jest jednakże perspektywa „bezrobocia” w NATO. Gdyby nie jego akcja w Bośni, nigdy w NATO nie przewidywana, to właściwie **nie miałoby** ono nic do roboty (sytuację może zmienić napięcie w serbskiej prowincji Kosovo, gdzie w chwili pisania niniejszych słów, NATO skłania się do interwencji zbrojnej)¹. W większą wojnę w Europie **nikt** już nie wierzy, a dla lokalnych wojen, zwalczania terroryzmu, przemytu narkotyków, misji pokojowych i innych akcji, żadne NATO nie jest nikomu potrzebne. Rozwiązań dla różnych obecnych i przyszłych wyzwań należy bowiem szukać, w „globalizującym się” świecie i przy proliferacji broni masowej zagłady, w skali ogólnoświatowej, a **nie** regionalnej lub dwustronnej.

NATO zatem, znane Polakom z przeszłości, należy już do historii, a jakim będzie w przyszłości tego **nikt** nie wie. Jakies „nowe NATO”, żeby znaleźć „zatrudnienie”, musiałyby wyjść **poza** dotychczasowy obszar swojego działania, poza Europę, a to nie jest żadną atrakcją dla większości jego dotychczasowych członków i zapewne tych nowych, Polski nie

wyłaczając. „Misje pokojowe” są już obecnie bardzo kosztowne i będą drożeć nadal, a w skutkach są niepewne (NATO w Bośni wydało ponad 20 mld. dol. i jeszcze nie wiadomo czym się to skończy).

Ewentualne wejście Rosji do NATO wreszcie, najprawdopodobniej oznaczać będzie jego **likwidację**, a przynajmniej w formie i nazwie dotychczas znanej. Co konkretnie pojawiłoby się na jego miejscu, w sytuacji gdzie nawet „architektura” zastępującej go organizacji nie jest narysowana nawet w zarysach, może być sprawą tylko domysłów.

Reasumując, przyszłość NATO jest mglista. Gdyby Polska została jego członkiem tuż po jego powstaniu, lub wkrótce potem, to taka decyzja byłaby sensowna, podczas gdy dziś jest co najmniej dyskusyjna.

2. Unia Europejska

Drugim największym i najpotężniejszym po NATO reprezentantem Zachodu jest licząca ok. 375 milionów mieszkańców Unia Europejska.

Po NATO, członkostwo w niej jest marzeniem 2/3 Polaków, a nawet 84 procent polskiego duchowieństwa katolickiego.

Unia jednakże, nie tak jak NATO, które od niemal 50-ciu lat jest z traktatowego punktu widzenia instytucją czytelną i prawnie jak dotąd niezmienną, ze zmienną tylko ilością jego członków, jest z kolei instytucją niezwykle wewnętrznie i zewnętrznie skomplikowaną, mało przejrzystą, a tym samym Polakom mniej znaną.

Egzystencja Unii jest znaczone różnymi etapami, które wraz z upływem czasu tworzą z niej instytucję-piramidę, nie zawsze zrozumiałą nawet dla jej krajów członkowskich, nie mówiąc już o kandydatach na jej członków, wśród których jest Polska.

Aktualnie, ma za sobą już trzy „integracyjne etapy”.

Pierwszym było stworzenie „strefy wolnego handlu”, drugim „unii celnej”, ze wspólną taryfą zewnętrzną, a trzecim, obecnie w trakcie realizacji, „jednolity rynek”, nie tylko z wolnym przepływem towarów i usług, ale także kapitałów i ludzi (bez ograniczeń w zatrudnieniu i stałym miejscu zamieszkania).

Czwartym etapem ma być unia walutowa i wspólny pieniądź, „Euro”.

Działalność Unii Europejskiej znaczone jest też okresowymi „drogowskazami”.

Tak na przykład, obecnie Unia działa w myśl Traktatu z Maastricht z grudnia 1991 r., ale od czerwca 1997 r., po przyjęciu Traktatu

z Amsterdamu, częściowo zaczyna już działać zgodnie z jego duchem, choć w pełni wejdzie on w życie dopiero w 1999 r., po jego ratyfikacji.

W ramach Unii działają ponadto trzy „europejskie wspólnoty”, traktatowo niezależne, tworzone jeszcze w latach 1950-ch, jak Europejska Wspólnota Węgla i Stali, Euratom i Wspólnota Europejska.

Każdy z kolejnych traktatów wreszcie, wymyśla nowe „filary” i nowe „cele”, na których opiera się Unia w codziennych działaniach. Traktat z Maastricht na przykład, wymyślił trzy „filary”.

Pierwszym jest decyzja o utworzeniu unii walutowej, przemianowaniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Wspólnoty Europejskiej na Unię Europejską, plus kilka innych decyzji pogłębiających proces integracji.

Drugim filarem jest podjęcie prób stworzenia wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa.

Trzecim jest szereg decyzji związanych z tworzeniem „jednolitego rynku”, zgodnie z decyzjami z 1987 r., jak też stworzenie „europejskiego obywatelstwa”.

Traktat Amsterdamski z kolei, nie tylko skonsolidował te trzy „filary”, ale dorzucił cztery nowe „cele”, w rzeczywistości dodatkowe „filary”.

Celami tymi są:

- nadanie priorytetu sprawom zatrudnienia i praw obywatelskich;
- ostateczne zlikwidowanie barier w swobodnym ruchu ludności w obrębie Unii oraz wzmocnienie jej bezpieczeństwa wewnętrznego;
- większy głos Unii w sprawach światowych;
- usprawnienie „instytucjonalnej struktury” Unii, mając na względzie jej poszerzenie się o nowych członków.

Unia Europejska więc, to instytucja w ciągłym ruchu, ale jednocześnie pełna różnych zaszłości, z którymi każdy kraj przystępujący do niej musi się liczyć i które ciąży na jej bieżącej działalności. Polska, która w tworzeniu tych zaszłości nie brała udziału, a o wielu z nich nie wie do dnia dzisiejszego, nie biorąc ponadto udziału w tworzeniu nowych, znajduje się więc w **niekorzystnej** sytuacji, negocjując warunki akcesji do instytucji ledwie jej znanej.

Mimo wszystko, nie należy się tym zniechęcać, pamiętając, że Unia Europejska pod względem potencjału gospodarczego jest niemal równa USA, a w mocach produkcyjnych nawet je przewyższa. Na dzień dzisiejszy na Unię przypada ok. 1/5 udziału w produkcji światowej, podczas gdy w handlu międzynarodowym jest ona główną potęgą.

Unia Europejska, nie tak jak NATO, obejmujące dwie półkule i

trzy części świata, jest **regionalnym** ugrupowaniem, jak dotąd wyłącznie zachodnioeuropejskim, nie obejmującym jednak wszystkich krajów tego obszaru (członkami jej nie są Islandia, Norwegia i Szwajcaria).

Mimo swojego regionalnego charakteru, Unia Europejska ma jednocześnie pogłębione więzy z wieloma krajami zamorskimi. Status członkostwa stowarzyszonego z Unią posiada bowiem 71 krajów Afryki, strefy Pacyfiku i Morza Karaibskiego, zwanymi krajami APC.

Najważniejsze jest jednak co innego. O ile bowiem NATO może ulec poważnym przeobrażeniom w momencie wchodzenia do niego Polski i potem, to **jeszcze bardziej** jest to prawdą w przypadku Unii Europejskiej.

Powodem tego są historyczne i dziś już **niepowtarzalne** przesłanki powstania Unii Europejskiej.

Konkretnie mówiąc, USA, udzielając w pierwszych latach powojennych ogromnej pomocy materialnej Europie Zachodniej, były zainteresowane, nawet kosztem własnych interesów, w rozwoju w jej łonie wzajemnej i wszechstronnej współpracy. W obliczu budującego się bloku sowieckiego na wschód od Łaby, było to absolutnie nadrzędnym celem polityki amerykańskiej.

Co jednakże z amerykańskich życzeń wyszłoby naprawdę, gdyby nie interesy narodowe Francji, nie jest absolutnie pewne. Francja bowiem, bojąc się szybkiej odbudowy potencjału Niemiec Zachodnich, jak też patrząc niechętnym okiem na dominującą pozycję USA w powojennej Europie Zachodniej, wyszła z własnymi koncepcjami zacieśniania wszechstronnej współpracy na tym obszarze.

Koncepcje te poszły dwoma torami:

- budowaniem ponadnarodowej kontroli nad odradzającym się potencjałem gospodarczym Niemiec Zachodnich;
- budowaniem „europejskiej unii obronnej”, do której byłyby włączone również niemieckie oddziały wojskowe (w tym czasie jeszcze ich nie było, gdyż Bundeswehra powstała dopiero w 1956 r.).

W efekcie pierwszej koncepcji, francuski minister spraw zagranicznych Robert Schumann przedłożył 9 maja 1950 r. plan, opracowany przez francuskiego ekonomistę Jean Monneta, zintegrowania niektórych przemysłów w Europie Zachodniej.

I tak doszło do powstania 18 kwietnia 1951 r. EWWiS, Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, złożonej z 6-ciu krajów (Francji, Niemiec Zachodnich, Włoch, Holandii, Belgii i Luksemburga).

„Wspólnota”, albo „Szóstka”, początkowo udane przedsięwzięcie, stała się następnie podstawą utworzenia w 25 marca 1957 r. „Wspólnego

Rynku”, zwanego EWG, Europejską Wspólnotą Gospodarczą, która stała się prekursorem dzisiejszej Unii Europejskiej, powstałej w myśl Traktatu z Maastricht 1 listopada 1993 r.

Druga natomiast koncepcja francuska, tzw. Plan Plevena z 24 października 1950 r., postulująca stworzenie „europejskiej unii obronnej”, którą nawet wspomniana już „Szóstka” wstępnie podpisała 27 maja 1952 r., załamała się w wyniku odrzucenia jej przez francuski parlament 29 sierpnia 1954 r.

Przypomnienie tych wydarzeń jest o tyle ważne, że już na początku integracji zachodnioeuropejskiej, która ostatnio ma ambicję przerosnąć w ogólnoeuropejską, ujawniły się **partykularne i wzajemnie sprzeczne** interesy niektórych jej uczestników, z którymi polska racja stanu ma niewiele wspólnego.

Przy tworzeniu fundamentów pod „integrację europejską”, pod którym to pojęciem do szczytu kopenhaskiego Unii w czerwcu 1993 r. rozumiano **wyłącznie** integrację zachodnioeuropejską, wytworzyła się w efekcie mozaika różnych interesów narodowych. USA, silnie osadzone w Europie Zachodniej, miały swoje interesy, Francja swoje, Niemcy Zachodnie swoje, chcąc zdobyć sobie miejsce w powojennej Europie na francuskich koncepcjach, a wreszcie Anglia miała też swoje, patrząc z rezerwą, do dziś zresztą, na te inicjatywy integracyjne, które mogłyby podkopać jej suwerenność.

Inne kraje liczyły się o wiele mniej, choć niewątpliwie trzy małe kraje Beneluxu wołały widzieć Niemcy Zachodnie pod jakąś ponadnarodową kontrolą, niż danie im wolnej ręki.

I tak oto, proces integracji w Europie Zachodniej, jak dotąd **głównie** gospodarczej, gorzej lub lepiej ruszył z miejsca, podczas gdy integracja wojskowa załamała się w zarodku już prawie 45 lat temu i nie jest pewne czy uda się ją kiedykolwiek ożywić. Integracja polityczna z kolei, nie doczekała się jeszcze swojej „architektury”, jeśli nie liczyć jej pierwszych początków w postaci CFSP, Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa, zainicjowanej Traktatem z Maastricht i formalnie istniejącej od listopada 1993 r.

Wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa Unii, z próbami jej stworzenia sięgającymi wcześniejszych czasów, ma niezbyt chwalebna historię, czego przykładem jest „sprawa jugosłowiańska”, za którą w znacznym stopniu ponosi winę.

Początkowo, zarówno EWG/Unia jak i USA, chciały utrzymać Jugosławię przy życiu, jednocześnie odmawiając jej, niestety, pomocy gospodarczej (Jugosławia chciała tylko 1 mld. dol. w kredycie, a do dnia

dzisiejszego NATO, ONZ, EWG/Unia i niektóre kraje - wydały już na jej terenach ok. 30 mld. dol., **nic** nie rozwiązując).

EWG/Unia, w każdym razie, włączyła się aktywnie w wygaszanie narastającego konfliktu w rozpadającej się Jugosławii, organizując nawet w dniu 7 września 1991 r. w Hadze spotkanie zainteresowanych stron. Zamiast jednak dopomóc w rozwiązaniu konfliktu, Niemcy, wbrew stanowisku pozostałych krajów EWG/Unii, w dniu 23 grudnia 1991 r. uznały niepodległość Słowenii i Chorwacji, co natychmiast go zaostrzyło. EWG/Unia, zamiast napiętnować Niemcy, nie tylko poszła w ich ślady 15 stycznia 1992 r. ale jeszcze uznała 7 kwietnia tegoż roku niepodległość Bośni, w wyniku czego doszło do znanej i krwawej wojny na jej terytorium, o ciągle jeszcze nieznanym końcu.

Integracja zachodnioeuropejska więc, wkrótce obchodząca półwiecze, przeżywa wiele trudności, których korzenie sięgają początków procesu integracyjnego.

Francja, pomysłodawca integracji, kierując się własną racją stanu, w pewnym momencie zbieżną z zachodnioniemiecką racją stanu, reprezentowaną ongiś przez kanclerza Adenauera, doprowadziła do powstania „osi Paryż-Bonn”, uświęconej Traktatem Elizejskim z 20 lipca 1963 r.

W efekcie tego, integracja zachodnioeuropejska stała się faktycznie **tylko** na dwóch filarach, francuskim i zachodnioniemieckim, dziś niemieckim, co nadało jej nie tylko określonej treści i formy, ale nade wszystko uzależniło ją od politycznej woli obu mocarstw, wartości przeciwieństw.

W konsekwencji tego, „dwufilarowa integracja” stworzyła wielce złożoną sytuację. Czym innym był bowiem „filar francuski” i czym innym „filar zachodnioniemiecki”, dziś „niemiecki”. Wykorzystując integrację dla własnych interesów, Francja, modernizując swoje rolnictwo, głównie za bońskie pieniądze, uczyniła swój „filar” mało solidnym. Oczywiście, wspiera ona również z własnej kieszeni proces integracji, ale w ostatecznym rachunku **nie ponosi** jej kosztów, wpłacając aktualnie do budżetu Unii ok. 13 mld. dolarów i odzyskując z niego ok. 12,5 mld. dolarów. W sumie więc, Francja tylko w bardzo **niewielkim** stopniu wspomaga finansowo integrację (w przeszłości było odwrotnie, gdyż to integracja ją wspomagała).

Inaczej mają się sprawy z „niemieckim filarem”. Wkłady Niemiec do budżetu Unii, **największe** wśród krajów członkowskich, sięgają 30 procent wszystkich wkładów, jednocześnie ponad 2-krotnie przewyższając odpowiedni odzysk, co w efekcie daje Niemcom 60-procentowy udział w

„czystych” wydatkach unijnych (równa się to ponad 10 mld. dol., wykładanych rocznie z niemieckiej kieszeni na integrację europejską).

I ten „niemiecki filar”, główny w europejskiej integracji, zaczyna się chwiać ostatnio. Z powodu olbrzymich wydatków, związanych ze zjednoczeniem kraju, sięgających rocznie 65 mld. dolarów, Niemcy chcą **zredukować** swój wkład do budżetu Unii o 3,75 mld. dol. Jednocześnie chcą **zatrzymać** odzysk z unijnego budżetu na podtrzymywanie swojego rolnictwa i na pomoc dla obszarów b. NRD. A ponieważ podobnie chce zredukować swój wkład do unijnego budżetu Holandia oraz częściowo Anglia, więc sprawa „układu smarowania” integracji europejskiej zaczyna się poważnie komplikować.

Problem budżetu Unii, do którego wkłady krajów członkowskich wynoszą 1,27 procent ich produktu krajowego brutto, a zwiększenie ich jest **wykluczone**, staje się więc problemem Nr. 1, co może mieć daleko idące reperkusje, zwłaszcza w związku z jej zamiarami poszerzenia się o nowych członków. Nie jest bowiem pewne **kto** ma płacić za dalszą integrację, która w przypadku rozszerzenia się jej na wschód i południe znacznie przecież podrożeje².

Francja, w przypadku redukcji wkładu Niemiec do budżetu Unii, nie tylko nie wyrówna powstałej luki, ale jeszcze z pewnością będzie mieć do nich pretensje za „węża w kieszeni”, co może **pogorszyć** i tak ostatnio już nie najlepsze stosunki pomiędzy tymi obu krajami. To zaś odbiłyby się fatalnie na perspektywach dalszej integracji w Europie.

Luki nie wyrówna też Anglia, która do integracji dopłaca „na czysto” ponad 2 mld. dol. rocznie, Włochy, dopłacające prawie 2 mld. dol., Holandia, niemal 2,5 mld. dol. czy Szwecja z Austrią. Belgia, Dania, Finlandia, a zwłaszcza Luksemburg, „kraje bogate”, z integracji więcej korzystają niż do niej dokładają i zapewne nie zechcą dobrowolnie tego zmienić, a nikt je do tego też nie zmusi. Inni, zaliczani do „biednych krajów”, z integracji korzystają. Prawie 40-milionowa Hiszpania otrzymuje rocznie „na czysto” prawie 6 mld. dol., 10,5-milionowa Grecja ponad 4 mld. dol., 10-milionowa Portugalia niemal 2,9 mld. dol., podczas gdy 3,5-milionowa Irlandia ok. 2,3 mld. dol. Nawet 0,4-milionowy Luksemburg, najbogatszy kraj Unii, odzyskuje z Unii prawie 3-krotnie więcej, niż do niej wpłaca, ok. 300 mln. dol. rocznie!

Oczywiście, żaden z tych krajów-beneficjentów **nie zrezygnuje** z otrzymywanej pomocy, ani tym bardziej nie będzie pomagał „nowicjuszom” w Unii, z których jednym ma być Polska.

Problem finansowania integracji wygląda więc **niepewnie**, a bez dopłacania do niej wątpliwy jest jej dalszy postęp. Zwłaszcza, jeśli człon-

kami Unii zostaną kraje tak biedne jak Polska, które trzeba dofinansowywać w stopniu o wiele większym niż miało to dotąd miejsce w jej historii. Wstępnie wymieniane sumy na ten cel, mają łącznie stanowić ok. 63 mld. dol. w okresie lat 2000-2006, a więc tyle, ile otrzymuje rocznie od samych Niemiec terytorium b. NRD, zamieszkałe przez ok. 17 mln. ludzi. Zresztą, nawet i ta suma nie jest pewna (w czasie dyskusji nad wysokością tej pomocy padały propozycje ustalenia jej na poziomie ok. 300 mld. dol., ale nie doczekały się one poparcia).

Nie problem pomocy jednakże, ale dalsza współpraca Niemiec i Francji jest najważniejsza w procesie integracji europejskiej. Czy Niemcy zechcą nadal z nią współpracować w tej dziedzinie, czy też zaczną wycofywać się z „osi”, orientując się na pogłębione stosunki z Rosją i innymi krajami b. ZSRR oraz Europy Środkowej i Wschodniej, naturalnymi oraz tradycyjnymi rynkami zbytu i zaopatrzenia dla nich, zwłaszcza po przeniesieniu stolicy do Berlina w 2000 r.?

Tym bardziej, że Niemcy mają prawdopodobnie dość dotychczasowego francuskiego patronowania, które szczególnie „dopiekło” Bonn w czasie upadku muru berlińskiego.

Moskwa, która tym wydarzeniem rozpoczęła jednoczenie Niemiec, z procesu tego praktycznie wyłączyła trzy mocarstwa zachodnie, które, jako faktyczni ich okupanci, o zamiarach czwartego okupanta powinny nie tylko wcześniej wiedzieć, ale nade wszystko wyrazić na nie zgodę. Zaskoczone wydarzeniami USA, jakoś z tej kłopotliwej sytuacji wybrnęły, robiąc dobrą minę do złej gry, ale Anglia, a zwłaszcza Francja, nie ukrywały swojego zdenerwowania z powodu moskiewskiej niespodzianki. Przerażony tym francuski prezydent Mitterand sprzeciwiał się wręcz demontażowi granicy pomiędzy NRD a RFN, a dla podkreślenia sprzeciwu, nie konsultując swojej decyzji z Bonn, złożył niespodziewaną wizytę w NRD w dniach 20-21 grudnia 1989 r., w kraju, ani przez niego, ani żadnego innego francuskiego prezydenta, nigdy dotąd nie odwiedzonym! Francja zatem, tym gestem, jakby chciała ratować ginącą NRD, rzecz nie do wybaczenia i zapomnienia w Bonn.

Bonn z kolei, chcąc zjednoczenia kraju, zresztą nie mając innego wyjścia, gdyż „enerdowcy” masowo przenosili się na zachód od Łaby, musiało jakoś zareagować na wydarzenia na wschód od niej. I tak doszło do słynnego wystąpienia kanclerza Kohla 28 listopada 1989 r., w którym pośrednio zrobił dwie ważne aluzje, a mianowicie, że zjednoczone Niemcy mogłyby opuścić NATO i Unię Europejską... Wystąpienie Kohla wzmoгло natychmiast obawy i nieufność Paryża wobec jednoczących się Niemiec. W rezultacie tego, podobnie jak w pierwszych latach powojen-

nych, Paryż wyszedł z koncepcją, osadzającą zjednoczone Niemcy w „zjednoczonej Europie”, wtedy jeszcze nie obejmującej Europy Środkowej i Wschodniej.

Jak taka „zjednoczona Europa” miałyby wyglądać - nie było bynajmniej jasne. Od czasów prezydentury gen. De Gaulle'a kołatała się co prawda wizja „Europy ojczyzn”, nigdy bliżej niesprecyzowana. Przeciwnostawne jej wizje, „europejskiej ojczyzny”, jakichś „stanów zjednoczonych Europy”, jak też „partnerskiej Europy”, były podobnie mało sprecyzowane, a nade wszystko nieprzydatne dla praktycznych działań politycznych. Czas tymczasem nagiął i trzeba było szybko przystępować do akcji.

Jednoczące się Niemcy, dla „świętego spokoju”, podjęły francuską rękawicę, ale nie bezwarunkowo. Akceptując związanie jednoczącego się kraju z „europejską integracją”, Niemcy powróciły do koncepcji „Planu Wernera” z 1970 r. i kilku innych, które głosiły ideę stworzenia unii walutowej, a w jej ramach „waluty europejskiej”, jako **nieodzownego** warunku zbudowania zjednoczonej Europy. Niemieckie stanowisko, formalnie idące także po linii koncepcji francuskich, które znalazły swój wyraz w tzw. Jednolitym Akcie Europejskim z 1987 r., przewidującym stworzenie „jednolitego rynku”, w tym unii walutowej, znalazło pozytywny oddźwięk we wspomnianym już Traktacie z Maastricht. Traktat zapowiedział stworzenie unii walutowej bądź w 1997 r., bądź w 1999 r. (w 1995 r. zdecydowano, że w 1999 r.).

Istotnie, jeśli Unia Europejska ma być jakąś „zjednoczoną Europą”, a nie tylko „strefą wolnego handlu”, niezmiennie głoszoną przez Anglię, to wyposażenie jej w unię walutową i wspólną walutę jest **nieodzownym** warunkiem wstępnym do tego celu.

Francja, nie mając formalnych powodów do sprzeciwu, zwłaszcza że Jacques Delors, jej przedstawiciel i do niedawna przewodniczący Komisji był gorącym propagatorem „Euro”, rozwiązanie przyjęła. W rezultacie tego, 11 krajów członkowskich spośród 15-tu, od 1 stycznia 1999 r. poczynając, zaczęły tworzyć prawdziwą unię walutową, ze wspólną walutą „Euro”, która po 1 lipca 2002 r. zastąpi ich narodowe waluty (do przedsięwzięcia nie dołączyły Anglia, Dania, Grecja i Szwecja).

Rzeczą godną uwagi w tym wydarzeniu jest to, że właśnie Niemcy są autorem „Euro” i głównym bankierem wspólnej waluty, z Europejskim Bankiem Centralnym usytuowanym we Frankfurcie nad Menem. W krajach Unii zaczęto nawet szeptać z tego powodu, że na jej czele stoi faktycznie „wielka trójka”, niemiecka, a konkretnie kanclerz Helmut Kohl, Theo Waigel, niemiecki minister finansów oraz Hans Tietmayer, prezes

Bundesbanku, niemieckiego banku centralnego.

„Euro”, zwany też „Euro 11”, rodząc się i rezydując w Niemczech, w 32 procentach podbudowany potęgą DM, niemieckiej marki, służącej ponadto jako wzorzec dla „europejskiej waluty”, podobnie jak Bundesbank dla Europejskiego Banku Centralnego, może więc mieć **decydujące** znaczenie dla dalszego istnienia Unii Europejskiej.

Jako główny architekt „Euro”, Niemcy ustaliły dla tej „unijnej waluty” wręcz drakońskie kryteria i stąd nie wiadomo jeszcze kto tym kryteriom sprosta w praktyce. Same Niemcy miały kłopoty ze zmieszczeniem się w nich, nie mówiąc już o kilku innych krajach, które tylko „na siłę” dopasowały się w ostatniej chwili. Francja, która chciała złagodzić niektóre drakońskie kryteria, spotkała się z twardym niemieckim „Nein!”, które postawiło ją w obliczu dylematu, bądź wycofania się z przedsięwzięcia, co przy jej 20-procentowym udziale w „Euro” skończyłoby się jego martwym porodem, Niemcy zaś mogłyby to wykorzystać do dystansowania się od Unii, bądź podjąć ryzyko dla zachowania z nimi „osiowych” stosunków.

Co z tego wyniknie w przyszłości, tego nikt nie wie, ale jeśli kryteriom „Euro” w najbliższych latach nie sprosta właśnie Francja, to wypadając z przedsięwzięcia **załamię** dalszy postęp integracji w Europie, za co ona, a nie Niemcy, poniesie odpowiedzialność.

Gdyby zaś same Niemcy nie mogły sprostać własnemu pomysłowi, rzecz również możliwa, to grozić to może **identycznymi** konsekwencjami, choć większymi w skali, dla europejskiej integracji. „Euro” nie cieszy się poparciem aż 2/3 Niemców, co w przypadku jego załamania się - podkopie ich zaufanie do kontynuowania „integracji europejskiej”, co może być jej końcem.

Dalsza więc przyszłość Unii Europejskiej **zależy** od sukcesu lub fiaska „Euro”. Która z tych dwóch alternatyw okaże się prawdą, nie można przewidzieć, gdyż jego losom zagrażają co najmniej dwa niebezpieczeństwa.

Pierwszym, jest „osamotnienie” unii walutowej, bez uzupełnienia jej unią finansową, co może być jej „marszem na jednej nodze”, rzecz w praktyce niemożliwa.

Drugim, jest prawdopodobieństwo zniszczenia „Euro” przez międzynarodowych spekulantów walutowo-finansowych, głównie amerykańskich. „Euro” bowiem zamierza zmierzyć się z Dolarem, co może być początkiem jego końca.

Kolejnym wyzwaniem dla przyszłości Unii jest zapowiadana, ale ciągle nie uzgodniona, reforma jej **instytucji**, przedsięwzięcie nieodzowne dla jej obecnego i przyszłego funkcjonowania.

Unia Europejska ma aktualnie następujące instytucje:

- Rada Europejska (nie mylić z Radą Europy!), składająca się z szefów państw oraz rządów krajów członkowskich i spotykająca się dwa razy do roku na tzw. szczytach;
- Rada Ministrów, składająca się z szefów różnych resortów krajów członkowskich (w zależności od potrzeb raz mogą to być ministrowie spraw zagranicznych, a raz ministrowie rolnictwa, finansów i gospodarki itp.);
- Komisja Europejska, składająca się z 20-tu Komisarzy, z 5-letnią kadencją, spośród których dokonuje się wyboru Przewodniczącego Komisji i dwóch wiceprzewodniczących (duże kraje członkowskie, jak Niemcy, Francja, Anglia, Włochy i Hiszpania mają po dwóch komisarzy, pozostałe zaś po jednym);
- Parlament Europejski, 626-mandatowy, jednoizbowy, o 5-letniej kadencji, pochodzący z wyborów bezpośrednich w krajach członkowskich (Niemcy dla przykładu, mają w nim 99 mandatów, Francja, Anglia i Włochy po 87, Hiszpania 64, Austria 21, a Luksemburg 6);
- Trybunał Europejski, składający się z 15-tu sędziów (każdy kraj członkowski ma po jednym reprezentancie narodowym);
- Europejski Bank Inwestycyjny, największy tego rodzaju w świecie (udzielił w ciągu swojego 7-letniego ok. 24 mld. dol. niskooprocentowanych pożyczek);
- Europejski Bank Centralny (istnieje dopiero od 1 czerwca 1998 r. i stąd nie figuruje jeszcze oficjalnie wśród unijnych instytucji).

Dwa z tych organów, Rada Ministrów i Komisja, wymagają pilnego zreformowania, zwłaszcza w perspektywie rozszerzania się Unii Europejskiej o nowych członków.

Reforma tych dwóch instytucji wiąże się jednak z innym, wysoce skomplikowanym aspektem procesu integracji europejskiej.

Integracja wystartowała bowiem najpierw jako „Szóstka”, z czasem rozszerzając się na inne kraje. W 1972 r. z „Szóstki” zrobiła się „Dziewiątka”, kiedy dołączyły do niej Anglia, Dania i Irlandia.

W 1981 r., po przystąpieniu Grecji, „Dziewiątka” stała się „Dziesiątką”, w 1986 r., z Hiszpanią i Portugalią, stała się „Dwunastką”, aby w 1995 r., z Austrią, Finlandią i Szwecją, stała się „Piętnastką”.

Obecnie, po formalnym rozpoczęciu się 31 marca 1998 r. procesu negocjacji o akcesję 6-ciu krajów, Cypru, Estonii, Polski, Republiki Czeskiej, Słowenii i Węgier, Unia może stać się „Dwudziestką Jedyneką”. A ponieważ w kolejce stoi jeszcze następna 5-tka krajów, Bułgaria, Litwa, Łotwa, Rumunia i Słowacja, Unia ma perspektywę zostania

„Dwudziestką Szóstką”, z 500 milionami mieszkańców.

Tak szybki, ilościowy rozrost Unii, stwarza dla niej **niebotyczne** problemy instytucjonalne. Dawna bowiem zasada jednomyślności powoli zanika, ustępując stanowisku większości, co wymaga skrupulatnego rozdziału głosów ważonych, aby „duże kraje” nie zdominowały „małych krajów” i odwrotnie, zachowując przy tym zdobyte wcześniej pozycję poszczególnych krajów członkowskich.

Dla rozwiązania tych komplikacji powołano co prawda specjalne forum, Międzyrządową Konferencję, IGC, ale rozpoczęte przez nią prace w marcu 1996 r., które miały zakończyć się do lipca 1997 r., utknęły na martwym punkcie i **nie wiadomo** jaki będzie ich finał. Wstępnie ustalono, że Parlament Europejski nie przekroczy 700 mandatów, a Komisja 20-tu komisarzy. Inne sprawy są „w lesie”, a wstępnie uzgodnione mają niepewną przyszłość.

Duże państwa na przykład, są gotowe zrezygnować z przywileju posiadania po dwóch komisarzy, ale skoro ma ich być nie więcej niż 20-tu, to w przypadku rozrostu Unii do 21 członków, a jeszcze bardziej do 26-ciu, **nie wszyscy** z nich mogliby mieć „swoich” komisarzy, ale komu ich nie dać i komu ich odebrać? Państwa, rezygnujące z posiadania dwóch komisarzy, domagają się ponadto rekompensaty w „głosach ważonych” w Radzie Ministrów, których obecnie jest 87, przy większości kwalifikowanej wynoszącej 62 głosy. Po wejściu do Unii nowych członków rozdział tych głosów, już dziś wysoce niekorzystny dla niektórych państw, skomplikuje się niepomniernie i dotąd **nie jest** jasne jak ten problem będzie rozwiązany.

Aktualnie bowiem, cztery „duże kraje”, Niemcy, Francja, Anglia i Włochy, mają w Radzie Ministrów po 10 głosów każdy, co już jest niezupełnie sprawiedliwe dla Niemiec, 82-milionowego kraju, który ma tyle samo głosów co 57-milionowe Francja, Anglia i Włochy. Jeszcze bardziej nonsensowny rozdział głosów ujawnia się w pełni we wszystkich innych przypadkach. Maleńki Luksemburg na przykład, ma 2 głosy, czyli jeden głos reprezentuje ilość 200 tysięcy obywateli, podczas gdy w przypadku Niemiec, jeden głos reprezentuje aż 8,2 milionów obywateli, różnica ponad 40-krotna, w demokratycznej przeciwieństwie Unii!

Rozdział głosów ważonych, w sytuacji odchodzenia Unii od zasady jednomyślności i przechodzenia na „zasadę większościową”, efekt rozszerzania się jej o nowych członków, grozi jej podziałami na „Europy różnych szybkości”, co faktycznie może oznaczać jej **dezintegrację** wewnętrzną.

Podobnych dziwolągów z rozdziałem głosów w Radzie Ministrów

Unii jest znacznie więcej, a po jej ewentualnym powiększeniu się o nowych członków, będzie ich jeszcze więcej, naruszając jej wewnętrzny i wysoce delikatny układ sił. W chwili obecnej żadna z dwóch grup krajów członkowskich, dzielących się z grubsza na „duże” i na „małe”, nie może przegłosować drugiej, ale po napływie nowych członków, głównie „małych”, sytuacja ta może ulec radykalnej zmianie, co już wywołuje zażarte spory. Niektóre kraje, jak Belgia, wyszły nawet z propozycją, żeby głosy w Radzie rozdzielać nie według demograficznego kryterium, ale „dochodowego”. W myśl tej propozycji, Polska, której produkt krajowy równa się produktowi 5-milionowej Finlandii, miałaby tylko 3 głosy, a nie jak demograficznie równa jej Hiszpania, która ma 8 głosów. Projekt belgijski na szczęście upadł, ale świadczy on najlepiej o charakterze sporów.

Innym dylematem jest też nowy rozdział mandatów w Parlamencie Europejskim i jego funkcjonowanie. Dziś, bardziej niż w przeszłości, ma on możliwość „współdecydowania” o sprawach Unii, ale nie będąc jeszcze w pełni uprawnionym parlamentem, na wzór narodowych, nie bardzo wie co ma robić.

Sprawą samą w sobie jest natomiast Trybunał, który właściwie **nikomu** nie podlega, a jego decyzje stają się wiążące nawet dla prywatnych podmiotów prawnych w Unii. Jako wybitnie „prorynkowy”, rozmontowuje on szereg osłon socjalnych, nadając jednocześnie wielkiemu kapitałowi nieograniczone swobody działania. Dlatego właśnie jego rola zaczyna być coraz bardziej kontrowersyjna.

Nowopowstały Europejski Bank Centralny, który wystartował od 400 funkcjonariuszy, z przewidywaną ilością pod koniec 1998 r. ok. 900, to znów problem sam w sobie. Banki centralne w większych krajach Unii bowiem, liczą po ok. 10 tys. funkcjonariuszy i kto wie czy EBC nie pójdzie w ich ślady. Nikt też dokładnie nie wie **komu** EBC będzie konkretnie podlegał.

Największym chyba problemem jest wreszcie Komisja, faktyczny rząd Unii. Jej 15 tysięcy funkcjonariuszy, liczebnością dwukrotnie przewyższa wszystkie inne unijne instytucje i agencje.

Komisja zatem, to instytucja potężna, ale jednocześnie niezwykle zbiurokratyzowana. Z jej łona wychodzą różne inicjatywy i pomysły, o bardzo dużym znaczeniu, jak na przykład „Agenda 2000”, czyli plan działań całej Unii na najbliższy okres. W jej dyspozycji jest też unijny budżet oraz cały szereg innych działań, jak ...”szpiegowanie” chłopów fińskich z satelitów na orbicie, czy aby nie sieją czegoś zabronionego przez „wspólną politykę rolną”! Odnosnie budżetu w dyspozycji Komisji, to **nie ma** jasno-

ści co będzie z nim w przyszłości. Aktualnie wynosi on ok. 93 mld., jest zmienny ze względu na swoją „ruchomą” podstawę, a jego podział, to wieczna niepewność i powód do zażartych kłótni.

Podobnie **nie jest** znany los „wspólnej polityki rolnej” i tzw. pomocy regionalnej, które na codzień najbardziej absorbują Komisję.

Odnośnie wysokości budżetu, w obliczu poszerzania się Unii na wschód i południe, to fakt zamrożenia wkładów do niego, na poziomie 1,27 procent produktu brutto kraju członkowskiego, oprostestowany zresztą przez Niemcy, jest problemem niezwykle ważnym i delikatnym. Pół biedy jeszcze, jeśli produkt ten będzie wzrastał w przyszłości, co automatycznie zwiększy wkłady do budżetu. Ale co będzie w przypadku jego stagnacji, czy nawet spadku? A w ogóle, jeśli Unia ma pomóc „biednym” kandydatom w przystąpieniu do jej szeregów, to dlaczego **nie chce** przeznaczyć więcej pieniędzy na ten cel?

Pieniądzy może nawet byłoby więcej, gdyby Unia dotrzymała swoich własnych obietnic, redukując swoje wydatki na „wspólną politykę rolną”, ale wysiłki Komisji w tym kierunku spotykają się z gwałtowną opozycją krajów z niej korzystających. Ciągła akcesja do Unii **pogłębia** wreszcie jej wewnętrzne zróżnicowanie. Nawet w obrębie obecnej „Piętnastki” jest ono znaczne, komplikując proces integracji.

A co będzie, jeśli obok obecnych „biednych krajów” Unii, Grecji, Irlandii, Hiszpanii i Portugalii, liczących łącznie ok. 65 milionów ludzi, z niektórymi z nich już wychodzącymi z tej grupy, pojawi się jedenaście krajów, z których dosłownie **wszystkie** uważane są za biedne?

Jak wobec tego patrzeć na dorobek „integracji europejskiej”, ucieleśnionej w Unii?

Niewątpliwie, ma ona szereg osiągnięć na swoim koncie, choć z drugiej strony wiele z nich, albo nawet większość, istniałyby najprawdopodobniej bez niej. Szwajcaria, Norwegia i Islandia, które nie są jej członkami, dobiły się nie mniejszych osiągnięć, pozostając poza nią.

„Wspólna polityka rolna”, szandarowe przedsięwzięcie Unii, trwająca od 1962 r., kiedyś pochłaniająca ok. 70 procent jej budżetu, a dziś nadal ok. połowy, zmniejszyła co prawda udział i bezwzględną liczebność ludności rolniczej w strukturze demograficznej krajów członkowskich, ale jakżeż olbrzymim kosztem. Niektórzy zarzucają nawet tej polityce wygnanie masy ludzi z rolnictwa do miast, zwiększając tam ilość bezrobotnych, a tym samym zasiłki dla nich świadczone z kasy państwowej, czyli podatnika. Krytycy przypominają też, że żywności w Unii produkuje się o 1/5 za dużo, że składa się ją potem wielkim kosztem, albo jeszcze większym wywozi za granicę, poniżej kosztów produk-

cji, dezorganizując przy okazji handel światowy produktami rolnymi.

I to jest prawda. CAP, unijna „wspólna polityka rolna”, była dziesiątkami lat głównym kamieniem niezgody najpierw w GATT, Układzie Ogólnym o Taryfach Celnych i Handlu, a dziś jest nie lepiej w nowo powstałej WTO, Światowej Organizacji Handlu.

Ile strat z tego powodu poniosła gospodarka światowa - nie sposób obliczyć.

Produkowana żywność w krajach Unii jest ponadto za droga, prawie dwukrotnie droższa od amerykańskiej, co ujemnie wpływa na wzrost wewnętrznego popytu na artykuły nierolnicze, hamując tym samym ekspansję gospodarczą i redukując stopę życiową ludności. „Wspólna polityka rolna” ma co prawda przejść już niedługo do historii, ale moment jej zgonu opóźnia się, pochłaniając w międzyczasie kolejne dziesiątki miliardów dolarów.

Drugie wielkie przedsięwzięcie, tzw. pomoc regionalną, która okresami pochłania do 40 procent unijnego budżetu, to następna seria nonsensów, czego ilustracją był cytowany powyżej przykład Luksemburga. Kryteria „pomocy regionalnej” są bowiem takie, że w razie nie osiągnięcia przez jakiś obszar kraju członkowskiego 75 procent średniej w Unii, kwalifikuje się on do wsparcia z jej budżetu. Skutek tego jest zaś taki, że najbogatszy kraj Unii, Luksemburg, korzysta właśnie z takiej pomocy, jako że jedna z jego części ma akurat przejściowe trudności. Tym właśnie tłumaczy się wspomniany już powyżej „luksemburski dziwoląg” w postaci 3-krotnie większego odzysku niż wkładu do unijnego budżetu.

Tego rodzaju „kwiatki”, choć nie one są główną przyczyną spadającej popularności kontynuowania „integracji europejskiej”, odbijają się potem echem przy różnych okazjach głosowania powszechnego i badań opinii publicznej. Jeszcze kilka lat temu prawie 75 procent ludności krajów członkowskich Unii było do niej przychylnie nastawionych, podczas gdy dziś tylko 47 procent, czyli **większość** jest jej przeciwna, lub w najlepszym wypadku obojętna. Austria i Szwecja żałują przystąpienia do Unii i gdyby wyborcy mieli dziś okazję, to mogliby odrzucić przynależność do niej. We Francji z kolei, ledwie połowa ludności udziela jej poparcia, a w Niemczech, według sondaży opinii publicznej, aż 2/3 ludności jest jej przeciwna. Anglicy wreszcie, mimo że ogólnie Unię popierają, to jednakże nie chcą żadnego pogłębiania procesów integracji, grożących podkopaniem suwerenności narodowej³.

Integracja zachodnioeuropejska, której zewnętrznym wyrazem jest Unia, wywołuje wreszcie szereg innych refleksji.

Czy jej dotychczasowy efekt jest korzystny dla krajów uczestniczących w tym procesie, czy może właśnie negatywny?

Odpowiadając na to pytanie tylko na podstawie tempa wzrostu gospodarczego tych krajów w ostatnim 40-leciu - wniosek jest **negatywny**, chociaż można spierać się czy nie byłoby jeszcze gorzej pod nieobecność procesu integracyjnego.

A co do tempa rozwoju, to w latach 1960-ch wynosiło ono w krajach Unii 4,8 procent średniorocznie, w latach 1970-ch spadło do 3 procent, w latach 1980-ch spadało nadal, wynosząc 2,4 procent, a w latach 1991-1997 obniżyło się jeszcze do 1,7 procent. Wynikałoby stąd, że tempo rozwoju w krajach Unii **spadało** w miarę pogłębiania się integracji, wniosek dość kłopotliwy dla jej entuzjastów. W USA w ciągu dwóch miesięcy stworzono więcej miejsc pracy, niż w Unii w ciągu ubiegłego 10-lecia!

W sytuacji, gdzie w Unii jest 18 milionów bezrobotnych, a według niektórych danych nawet 25 milionów, tego rodzaju obraz sytuacji **nie pomaga** jej pozytywnemu wizerunkowi.

W obliczu takich faktów zrozumiałe jest, że „euroentuzjaści” nie cieszą się popularnością, podczas gdy takie określenia jak „eurosceptycyzm” i „euroskleroza” stają się w Unii coraz popularniejsze. Zwolenników rozszerzania się Unii w kierunku wschodnim i południowym jest też coraz mniej, a gdy do opinii publicznej dotrą jeszcze koszty tego przedsięwzięcia, to może z czasem zniknąć zupełnie.

Bezpownotnie badając, minęły też czasy takich „Europejczyków” jak francuscy architekci integracji w osobach Jean Monneta i Roberta Schumanna, czy niemieccy jej promotorzy, jak Konrad Adenauer i Walter Hallstein, a wreszcie tacy aktywni jej propagatorzy, jak belgijski Henri Spaak, luksemburski Joseph Bech, czy włoski Alcide De Gasperi.

Jeden z ostatnich „wielkich Europejczyków”, długoletni francuski prezydent Francois Mitterrand, odszedł niedawno już na zawsze, a następny, niemiecki „wieczny” kanclerz Helmut Kohl, jeśli przegra we wrześniu 1998 r. wybory, będzie bodajże ostatnim z tej serii.

Reasumując, idea integracji regionalnej, w „globalizującym się” świecie, przy bardzo silnych i nadal rosnących „patriotyzmach lokalnych”, które zagrażają nawet jedności państw narodowych, jak to ma miejsce we Włoszech, **nie cieszy się** popularnością. A w każdym razie nie w stopniu gwarantującym jej sukces. W przypadku poprawy koniunktury i spadku bezrobocia, plagi nieznanego dotąd w takiej skali w powojennej Europie Zachodniej, stosunek ten może oczywiście ulec zmianie na lepsze. W przypadku jednak jej pogarszania się i wzrostu bezrobocia, a nade wszystko przyspieszonego demontażu „społecznej gospodarki ryn-

kowej”, dorobku zarówno lewicy jak i prawicy w tym regionie, idea integracji europejskiej padnie tego ofiarą, a w konsekwencji tego egzystencja Unii Europejskiej stanie pod znakiem zapytania.

3. Polska w NATO

W świetle powyższych wywodów, problem polskiego członkostwa w NATO, zmusza do głębszych refleksji.

Do NATO, przede wszystkim, nie wstępuje się **bez** jego wyraźnego zaproszenia.

Tak na przykład, kiedy 6 lipca 1948 r. piątka sygnatariuszy Paktu Brukselskiego rozpoczęła rozmowy z USA i Kanadą na temat powołania do życia NATO, to po osiągnięciu wstępnego porozumienia, 15 marca 1949 r. zaproszono jeszcze Danię, Islandię, Norwegię, Portugalię i Włochy, traktując je jako jego współzałożycieli. Potem, 17 października 1951 r., zaproszono do członkostwa w NATO Grecję i Turcję, podpisując z nimi po pięciu dniach negocjacji protokół o akcesji, który po ratyfikacji wszedł w życie 18 lutego 1952 r. Niemcom Zachodnim z kolei, 23 października 1954 r., zaproponowano członkostwo w NATO. Po krótkich negocjacjach oraz ratyfikacji porozumienia, kraj ten został jego członkiem 5 maja 1955 r. Z Hiszpanią wreszcie, NATO, tuż po jej zaproszeniu, w dniach 11-12 grudnia 1981 r. przeprowadziło „ekspresowe” negocjacje, podpisując protokół o akcesji, który po ratyfikacji wszedł w życie 30 maja 1982 r.

I oto, ta tradycyjna już procedura akcesji do NATO, z powodów niezbyt jasných, została radykalnie **zmieniona** w przypadku Polski, Republiki Czeskiej i Węgier. Krajów tych **nikt** bowiem do NATO nie zapraszał. Przeciwnie, do połowy 1993 r. NATO zachowywało kłopotliwe milczenie na ich „odzywki”, a nawet miejscami jakby je zniechęcało do pukania do jego drzwi.

Niecodziennosc sytuacji wynikała także i stąd, że **żaden** z kandydatów do NATO nie twierdził, iż grozi mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz, zwłaszcza ze strony Rosji, nie mówiąc już o tym, że Republika Czeska nawet nie graniczy z żadnym z krajów b. ZSRR.

Zresztą, NATO o żadnym zagrożeniu **nie chciało** nawet słyszeć!

Po zawarciu w dniu 19 listopada 1990 r. Paryskiego Porozumienia w sprawie redukcji sił konwencjonalnych NATO i Układu Warszawskiego w Europie, CFE w angielskim skrócie, było już pewne, że większej wojny na jej kontynencie **nie będzie**, a w każdym razie nie pomiędzy Wschodem a Zachodem. Ten nowy stan rzeczy znalazł następnie

swój wyraz na rzymskim szczycie NATO, odbytym w dniach 4-7 listopada 1991 r., w przyjętej „Nowej Koncepcji Strategicznej”, która otwarcie już **wykluczała** konfrontację zbrojną w Europie, przyjmując „Deklarację o Pokoju i Współpracy” oraz tworząc NACC, Północnoatlantycką Radę Współpracy, do której weszły kraje NATO i Układu Warszawskiego.

Po rozpadzie ZSRR, wyłaniającą się „nową Rosję” uznano bardzo szybko za kraj demokratyczny i prawie o gospodarce rynkowej, wobec czego zniknęły przesłanki ideologiczno-polityczne dla konfliktu zbrojnego. Amerykański prezydent Clinton i rosyjski prezydent Jelcyn przeszli na „ty”, podobnie jak Jelcyn z kanclerzem Kohlem. Zamajaczyły się również perspektywy przejścia na partnerskie, a nawet strategiczne stosunki amerykańsko-rosyjskie.

I nic dziwnego, że tak właśnie zaczęła się rozwijać sytuacja. NATO, USA w szczególności, na których spoczywa główny obowiązek obrony Zachodu, wiedzą przecież doskonale, że Rosja, mając olbrzymi arsenał broni masowej zagłady, przed którą jak dotąd nie ma obrony, jeśli zechce, to **może** zniszczyć swoich potencjalnych przeciwników w ciągu niecałej godziny... A że w odwecie również ona może być zniszczona, to mała stąd pociecha.

NATO więc, USA przede wszystkim, robi co może, żeby Rosję jakoś „ugłaskać”, przymykając nawet oczy na jej anomalie i ekscesy, gdyż alternatywą jest już **tylko** nuklearny holocaust.

Takie stanowisko ma jednak określone konsekwencje. Kraje NATO, traktując Rosję w sposób wyjątkowy, pompują w nią kapitały na wielką skalę. W ciągu ostatnich 7-miu lat wpompowano w nią prawie 100 mld. dolarów, a zanosi się na jeszcze więcej.

Rosja, wiedząc o swojej „wyjątkowości”, bierze beztrąsko co jej Zachód daje, otrzymywanych sum nie zwraca, wyciągając rękę po nowe, a otrzymywane wywozi za granicę, uczestnicząc na własną rękę i wspólnie z „narkobiznesem”, w międzynarodowej spekulacji finansowo-walutowej.

Czołówka krajów zachodnich zaś, G-7, Grupa Siedmiu, składająca się z USA, Japonii, Niemiec, Francji, Anglii, Włoch i Kanady, jakby tego nie tylko nie widziała, ale jeszcze chciała podkreślić „wyjątkowość” Rosji poprzez doproszenie Rosji do swojego grona w maju 1998 r.! Tym samym Rosja została Zachodem, w dodatku jego „śmietanką”, członkiem ekskluzywnego klubu...

W tych okolicznościach, członkostwo Polski w NATO, prawdę mówiąc, wygląda dość niecodziennie. Gdzie bowiem ma ona teraz szukać schronienia i **przed kim** właściwie? Przecież dookoła niej sami tyl-

ko przyjaciele!

A co do schronienia, to istotnie, w Traktacie Waszyngtońskim, na którym zbudowane jest NATO, jest formalnie takie schronienie, a mianowicie jego Artykuł 5, który mówi, że agresja przeciwko jednemu z jego członków jest agresją przeciwko nim wszystkim. Nie bardzo jednak wiadomo **co** konkretnie miałyby z tego wynikać. Odpowiedź na agresję, w myśl Artykułu, może być bowiem kolektywna lub indywidualna, ale takiego obowiązku właściwie **nie ma**, ani **nie musi** on być wyłącznie natury wojskowej. W sytuacji kiedy NATO przechodzi od „kolektywnej obrony” do „kolektywnego bezpieczeństwa”, co znalazło już wyraz w Karcie NATO-Rosja, obowiązek ten stał się jeszcze bardziej wątpliwy. A jeśli jeszcze zważyć, że ten dość enigmatyczny Artykuł ma być podobno anulowany lub zasadniczo zmieniony, na waszyngtońskim szczycie NATO w kwietniu 1999 r., przy okazji uchwalania kolejnej Koncepcji Strategicznej, więc **zatrącenie** przezeń charakteru wielostronnego sojuszu wojskowego jest tym bardziej prawdopodobne.

A tak na marginesie tego problemu, to dla bezpieczeństwa zewnętrznego Polski bez porównania **większą** wartość od tych w NATO, miałyby gwarancje udzielone przez USA, jak to ma miejsce z Japonią, Koreą Południową i Izraelem. Polska jednakże ani takich gwarancji nie poszukiwała, ani też USA nigdy ich nie proponowały. Brak zainteresowania USA takimi gwarancjami ma swoje głębsze przyczyny. Opinia publiczna w USA bowiem, która w 65-ciu procentach przychylna jest członkostwu Rosji w NATO, **nie uważa** już Europy jako obszar żywotnie ważny dla bezpieczeństwa kraju. Podobnego zdania jest Kongres USA. Administracja wreszcie, kierując się „doktryną Clintona”, ogłoszoną przez prezydenta 27 września 1993 r. z trybuny 48 sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, mówi ponadto o „rozszerzeniu demokracji na wschód, a **nie** żadnego NATO!

Prezydent Clinton wreszcie, na spotkaniu w początkach marca 1994 r. z działaczami amerykańskimi pochodzenia wschodnioeuropejskiego, mówił o bezpieczeństwie tego regionu, a **nie** jego obronie jako leżącym interesie USA.

Polska zatem, mimo członkostwa w NATO, w przypadku agresji Rosji, może **nie doczekać się** żadnego solidarnego wsparcia wojskowego z jego strony, gdyż USA nie są na to zdecydowane.

Czy Polska, jej władze w szczególności, wprasząc się do NATO, nie wiedziały o tym, czy nie chciały wiedzieć, czy wreszcie kierowały się jakimiś innymi względami, których **nigdy** narodowi nie wyjaśniły?

Oczywiście, Polska, doświadczona skutkami „złego sąsiedztwa”,

w sytuacji nie zapraszania jej do korzystnych dla niej sojuszków, powinna nawet sama wpraszać się do nich.

W polskich realiach jednakże, coś takiego musi być robione „z głową”, a nie łapu-capu i w aurze kłopotliwych niedomówień w dodatku.

Najpierw przecież, po powstaniu III RP, zaczęto coś mówić o „zbrojnej neutralności”, ale dość szybko ją zarzucono na rzecz „zachodniej opcji”, czyli oparcia w NATO, Unii Europejskiej i Unii Zachodnio-europejskiej.

I rzeczywiście, polska „zbrojna neutralność”, w sytuacji gdzie wydatki na obronę narodową są ponad dwukrotnie niż od niemal 4-krotnie mniejszej Szwecji, która w dodatku nie graniczy z żadnym potencjalnym agresorem, są wręcz śmieszne. Niemcy, sąsiad Polski, wydają ponad 13-krotnie więcej od niej na obronę, a Rosja ok. 30-krotnie!

Polska zatem, nawet zwiększając swoje wydatki na obronę 10-krotnie, rzecz gospodarczo niemożliwa, o **żadnej** „zbrojnej neutralności” marzyć więc nie może. Albo będzie po prostu neutralną, nie „zbrojnie neutralną”, albo musi poszukiwać skutecznych sojuszków na zewnątrz.

Decyzja w tej sprawie została podjęta, znajdując swój wyraz 2 listopada 1992 r. w dwóch dokumentach roboczych prezydenckiego BBN, Biura Bezpieczeństwa Narodowego, nazwanych szumnie „doktryna obronna”.

Tego rodzaju stanowisko jednakże jest **niezrozumiałe**, jeśli wręcz nie niebezpieczne, w świetle podjętych przez Polskę zobowiązań przy okazji podpisywania protokołu o rozwiązaniu Układu Warszawskiego. Polska bowiem zobowiązała się, podobnie jak wszyscy inni jego dawni członkowie, do **nie przystępowania** do żadnego innego sojuszu, który zagrażałby któremukolwiek z nich. Skoro w dodatku Rosja od początku formalnie **sprzeciwia się** przystępowaniu b. członków Układu Warszawskiego do NATO, to sprawa jest tym bardziej poważna.

Czyżby to właśnie było powodem „łamańców myślowych” prezydenta Wałęsy, który raptem, mówiąc niby o woli Polski wejścia do NATO, zaczął opowiadać o NATO-bis, określeniu **nigdy** przez niego nie zdefiniowanym i wywołującym w świecie sporo zamieszania?

A sprawa jest bardzo poważna w świetle istniejących wokół Polski realiów. Na odbytym w Moskwie posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w dniu 23 kwietnia 1993 r., Rosja potwierdziła **istnienie** w Europie Środkowej i Wschodniej swojej strefy wpływów, nazywanej „strefą historycznego zainteresowania”, lub po prostu „naszą strefą”. Co więcej, kategorycznie też zapowiedziała, że strefy tej będzie **bronić**, a ponieważ jej doktryna wojenna z 3 listopada 1993 r. wyraźnie stwierdza, że w razie

potrzeby **pierwsza** sięgnie do broni nuklearnej, więc sprawa wygląda groźnie. Oświadczenia z 16 maja 1997 r. marszałka Jewgienija Szaposznikowa, doradcy wojskowego Jelcyna, że Rosja będzie używać „nuklearnej pałki” w obronie swoich interesów, nie można sobie lekceważyć.

W tych okolicznościach, przy braku zachęty ze strony NATO, nie mówiąc już o braku jego zaproszenia, pukająca do jego drzwi Polska postawiła się we wręcz podejrzanym świetle.

Podejrzanym dlatego, że to Moskwa przecież, prowadząc wojnę „polityczno-dyplomatyczną” z NATO, pierwsza zapukała do jego drzwi! Nie poszukując w nim członkostwa co prawda, ale niemniej jednak. Od wizyty w Kwaterze NATO w Brukseli, w dniu 19 grudnia 1989 r., sowieckiego ministra spraw zagranicznych Eduarda Szewardnadze, zaczęły się bowiem bezpośrednie kontakty i wizyty pomiędzy obu blokami polityczno-wojskowymi, o czym warto pamiętać.

Polska, która ani nie była pierwszą, ani zbyt aktywną w dobijaniu się do drzwi NATO, raptem wyszła z jakichś **niejasnych** powodów na czoło, dobijając się do nich najgłośniej. Albo raczej jasnych, gdyż to zwycięska lewica po wyborach do Zgromadzenia Narodowego w 1993 r. i prezydenckich w 1995 r. czyniła tu najwięcej szumu, choć tuż przedtem jeszcze miała diametralnie **odmienne** poglądy w tej sprawie.

Wśród wielu epizodów towarzyszących temu dobijaniu się, jeden zasługuje na szczególną uwagę, a mianowicie rozmowy Jelcyn-Wałęsa w Warszawie. W Warszawie, Jelcyn złożył bowiem 25 sierpnia 1993 r. oświadczenie, zgadzając się jakoby na przystąpienie Polski do NATO. W rzeczywistości zgody takiej nie tylko **nie wyraził**, ale jeszcze sprawę wyjątkowo skomplikował. NATO zaś, zachęczone rzekomą zgodą Jelcyna, zaczęło już głośno mówić o swoim „rozszerzaniu się na wschód”, dokąd raptem nie zostało „polane” zimną wodą. Jelcyn, pod pretekstem „wyjaśniania” swojego warszawskiego oświadczenia, poinformował poufnym listem z końca września 1993 r. Waszyngton, Paryż, Londyn i Bonn, co naprawdę miał na myśli. Po prostu, poinformował on główne natowskie stolicy o moskiewskich porozumieniach z 12 września 1990 r., w sprawie zjednoczenia Niemiec, w których zresztą brały udział. A w Moskwie ustalono wtedy, że co prawda zjednoczone Niemcy będą członkiem NATO, ale na terytorium b. NRD nie będzie wojsk obcych, podczas gdy ograniczony kontyngent Bundeswehry nie będzie miał broni ofensywnych.

List Jelcyna przypominał więc, że „wojskowe NATO” ma **zatrzymać się** na Łabie, jak to było dawniej, podczas gdy „polityczne NATO” może ewentualnie iść sobie na wschód, pod pewnymi warunkami.

kami oczywiście.

Stolice zachodnie, tak sprecyzowane stanowisko Moskwy, milcząco akceptowały.

Odtąd już, Polska, Republika Czeska i Węgry, mogły już wstępować do NATO, do jego „struktury politycznej” faktycznie, czemu Moskwa **nigdy** nie oponowała, sprzeciwiając się jedynie przystępowaniu do jego „wojskowej struktury”.

NATO, tym razem już nie milcząco, powyższe stanowisko Moskwy **potwierdziło** wkrótce, co znalazło swój konkretny wyraz w jego decyzjach. W Brukseli, na spotkaniu rady ministerialnej NATO, w dniu 11 grudnia 1996 r., oświadczone bowiem, że na terytorium nowych jego członków „nie planuje się, ani nie ma do tego powodów, rozmieszczać broni nuklearnej obecnie i w przyszłości”. Stanowisko to potwierdzone zostało przez Radę NATO w dniu 14 marca 1997 r., która dodatkowo rozszerzyła decyzję brukselską zobowiązaniem, że na terytorium tych krajów **nie będzie** również większych natowskich sił konwencjonalnych. Na koniec, żeby już Moskwę uspokoić całkowicie, w Karcie NATO-Rosja z 27 maja 1997 r. wszystko to zapisano jeszcze raz.

Tego rodzaju sytuacja zmusza do głębokich refleksji.

Członkostwo bowiem Polski w NATO, a w pewnym stopniu także w Unii Europejskiej, może mieć sens tylko wtedy, jeśli ma ono na celu jej **wyjście** z rosyjskiej „strefy historycznego zainteresowania” oraz uchronienie się przed ewentualnym przymusowym do niej powrotem.

W tłumaczeniu na język praktyczny, w polskich realiach, musi to oznaczać **stacjonowanie** na terytorium Polski znacznych kontyngentów wojskowych NATO, głównie amerykańskiego, angielskiego i francuskiego, wyposażonych w taktyczną broń nuklearną. Siły takie byłyby nie tylko konieczne do odpierania ewentualnej agresji ze wschodu i północy, ale ponadto byłyby swoistym „zastawem”, dla obrony których to sił ich państwa macierzyste musiałyby wejść w stan wojny z agresorem. W przeszłości Niemcy Zachodnie zabiegały o taką właśnie obecność natowskich wojsk na swoim terytorium, amerykańskich zwłaszcza, żeby mieć pewność wejścia USA do wojny nie tak dla obrony niemieckiego sojusznika, jak swoich własnych wojsk.

Polska jednakże **nigdy** nie domagała się stacjonowania wojsk NATO na swoim terytorium, ani tym bardziej wyposażonych w broń nuklearną.

NATO ze swojej strony też tego nigdy nie chciało, co najwyżej coś tam przebąkując o przystosowaniu polskiej „infrastruktury obronnej” według jego standardów na wypadek potrzeby. „Infrastruktura”,

zwiększająca tzw. Kompatybilność i interoperacyjność polskich i natowskich sił zbrojnych, zapewne kosztowna w wykonaniu, może być **nieprzydatna** w praktyce.

Trzeba bowiem nie mieć wyobraźni, żeby coś takiego brać poważnie, w sytuacji, gdzie potencjalny agresor dosłownie „wisi” nad swoją ewentualną ofiarą, mając w dodatku ponad dwukrotnie więcej broni nuklearnej, niż trzy nuklearne mocarstwa natowskie razem wzięte!

Czy ktoś ponadto naprawdę sądzi, że starczyłoby czasu na korzystanie z takiej „infrastruktury”?

Jak można sobie wyobrazić lądowanie transportowych samolotów NATO z wojskami i sprzętem bojowym pod ogniem rosyjskich rakiet z nuklearnymi głowicami?

A czy może Polska domagała się przynajmniej przyspieszonej i kompleksowej modernizacji swoich własnych sił zbrojnych przy finansowej i technicznej pomocy NATO?

Nie, tego też **nie domagała się**, twierdząc, że ją samą stać na wszystko!

Czyżby naprawdę? „Armia 2012”, czyli polskie siły zbrojne w 2012 r., liczące tylko 180 tysięcy żołnierzy i oficerów, po wydatkowaniu 10 mld. dolarów na jej modernizację w ciągu najbliższych 15-tu lat, będzie przecież nadal bardzo słaba!

A co do NATO, to swój sprzęt bojowy, bardzo drogi zresztą, chętnie nawet sprzedałoby Polsce, ale za gotówkę, albo w ostateczności w kredycie handlowym.

Co więcej, NATO zgadza się nawet na zakup przez Polskę sprzętu bojowego w ... Rosji! A zatem, czyżby w ten sposób NATO potwierdziło przynależność Polski do „rosyjskiej strefy”? Któż to bowiem na świecie kupuje broń u swojego potencjalnego przeciwnika? A jeśli to nie przeciwnik, tylko przyjaciel, to do czego Polsce członkostwo w NATO?

A może sprawy mają się lepiej z wyrwaniem Polski ze „strefy” poprzez przecięcie jej „tajnopajęczynowych układów”, czyli oczyszczenia służb specjalnych od dawnych i obecnych powiązań z ich moskiewskimi siostrami?

Ależ gdzie tam! W NATO istnieje co prawda współpraca służb specjalnych, ale obowiązku takiego nie ma i w końcu może być i tak, jak to podał niemiecki tygodnik „Der Spiegel” z 6 kwietnia 1998 r., że polskie służby specjalne, zamiast wyzwać się z dawnych „układów”, będą nadal aktywnie **szpiegować** przeciwko ... krajom NATO!

W związku z tym trzeba postawić zasadnicze pytanie: czy członkostwo Polski w NATO ma służyć jej interesom, czy jakimś innym? I czym

faktycznie ma być polskie członkostwo w NATO?

Gdyby bowiem miałyby to być tylko jakieś „papierowe członkostwo”, stwarzające jedynie iluzję zewnętrznego bezpieczeństwa Polski, to jest ono **bezsensowne**, a nawet wysoce niebezpieczne. Rosja bowiem, aczkolwiek sama może zachęcać Polskę do wchodzenia do NATO, może użyć tego pretekstu do „ukarania” jej w momencie, który uzna za stosowny. Nie należy zapominać co mówił 23 listopada 1993 r., na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, Jewgienij Primakow, wówczas szef SWR, rosyjskiego niewojskowego wywiadu, a dziś minister spraw zagranicznych, w związku z zamiarami NATO „rozszerzania się na wschód”. On po prostu groził bronią nuklearną, szczególnie tym krajom, które stałyby się jego nowymi członkami!

Czy wobec tego członkostwo Polski w NATO, które najprawdopodobniej stanie się faktem już w kwietniu 1999 r., rozwiązuje coś z jej dylematów zewnętrznego bezpieczeństwa?

Na to pytanie **nie można** jeszcze odpowiedzieć. Dopiero czas pokaże na ile członkostwo to rozwiązało dawne dylematy tego bezpieczeństwa, a na ile stworzyło nowe.

4. Polska w Unii Europejskiej

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej, aczkolwiek niemożliwe bez członkostwa w NATO, jest od niego z wielu względów trudniejsze, **niepewne** przede wszystkim.

Ponadto, członkostwo Polski w Unii, nie tak jak w NATO, stawia na porządku dziennym sprawę **suwerenności**, gdyż ugrupowanie to jest o ponadnarodowym charakterze już obecnie, a jutro może nim być jeszcze bardziej.

Czy Polacy biorą ten aspekt akcesji do Unii pod uwagę - można mieć wątpliwości. Ze wszystkich oficjalnych wypowiedzi elit rządzących **nie wynika** bowiem, że tak właśnie jest, podczas gdy szeroka opinia publiczna, pomijając jej sporadyczne sondaże, albo nie wypowiada się na ten temat, albo tylko nieliczne jej odłamy gwałtownie demonstrują swoje nieprzychylnie Unii postawy.

W sumie jednak, choć sprawa jest o żywotnym znaczeniu dla Narodu i Państwa Polskiego, nie może się ona jakoś doczekać poważnej debaty ogólnonarodowej, która wyjaśniłaby wreszcie społeczeństwu co naprawdę oznacza akcesja do Unii Europejskiej.

Czy słuszne jest stwierdzenie, sformułowane na wstępie, że bez członkostwa Polski w NATO członkostwo w Unii Europejskiej byłoby





niemożliwe?

W Unii, ktoś może powiedzieć, są przecież kraje, jak Austria, Finlandia, Irlandia i Szwecja, które nie są członkami NATO, a nawet nie chcą nimi być.

W przypadku Polski, podobnie jak innych krajów b. „wspólnoty socjalistycznej”, kandydujących do Unii, sytuacja jest jednak **odmienna**, nieporównywalna z tamtymi krajami. Kraje członkowskie Unii, nie należące do NATO, nie tak jak kraje b. „wspólnoty socjalistycznej”, nie były **nigdy** w sowieckiej „strefie wpływów”, ani nie są dziś w rosyjskiej.

Z tego też powodu drogę do Unii miały otwartą, nie mówiąc już o tym, że zawsze były uważane za „zachodnie”, czego nie można powiedzieć o Polsce, która sama uważa się za kraj zachodni, ale inni tak nie myślą.

Bez przynależności więc do NATO, bez jego „świadczenia moralności”, potwierdzającego wyjście Polski z „rosyjskiej strefy”, albo dla odmiany potwierdzającego jej ... dobre stosunki z Rosją, członkostwo jej w Unii Europejskiej jest niemożliwe. Unia po prostu **nie będzie** pogłębiać swojej integracji z krajem, pozostającym pod bardziej czy mniej widoczną kontrolą Rosji, która w ostatecznym rachunku będzie decydować o jego losach.

Chyba, że Rosja wejdzie do NATO oraz będzie mieć przyjazne i pogłębione stosunki z Unią, rzecz całkiem możliwa w przyszłości.

Z drugiej strony, członkostwo Polski w NATO może, ale **nie musi** zapewnić jej członkostwa w Unii. Nie chodzi tylko o to, że „łatwiej dostać się do NATO z przestarzałymi czołgami, niż z zacofanym rolnictwem”, ale chodzi o **wiarogodność** tego członkostwa. Jeśli w NATO członkostwo Polski będzie tylko „papierowe”, albo co gorsza padną na nią podejrzenia jakiejś „podwójnej misji”, to **nie pozostanie** to bez wpływu na stosunek Unii do niej. Nie należy bowiem zapominać, że 11 członków Unii jest równocześnie członkami NATO.

Ale, nawet pod nieobecność tego rodzaju komplikacji, członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest nadal sprawą niezwykle skomplikowaną, prawdopodobnie dość odległą w czasie, a nade wszystko niepewną co do pozytywnego finału.

Czy w tej sytuacji nie lepiej nie wykazywać podniecenia i spokojnie podchodzić do tego członkostwa? Skąd ten pośpiech i wręcz obsesja, że musi ono nastąpić już w 2000 r., albo tuż potem?

Prawda, z handlowo-gospodarczego punktu widzenia, w chwili obecnej nadrzędnego, akcesja Polski do Unii wydaje się być sprawą palącą i nieodzowną, aczkolwiek bliższa analiza wszystkich „za” i „prze-

ciw” prowadzi do mieszanych konkluzji.

W wymianie handlowej Polski ze światem zewnętrznym, Unia zajmuje bezapelacyjnie **czołowe** miejsce. Aż 70 procent polskiego eksportu w 1997 r. kierowało się na jej rynek i stamtąd pochodziło 74 procent polskiego importu.

Unia Europejska więc, to handlowe „być albo nie być” dla Polski. W obrotach towarowych z Unią bowiem, już od lat istnieje **olbrzymi** deficyt handlowy. Polski eksport do Unii wyniósł w 1997 r. tylko 18,4 mld. dolarów, podczas gdy import 31,1 mld. dol., w efekcie czego deficyt osiągnął sumę 12,7 mld. dolarów, ok. 77 procent ogólnego deficytu handlowego Polski.

Deficyt płatniczy z tego powodu nie załamał się co prawda, gdyż z Unii płynie kapitał do Polski, ale jeszcze **nie jest** zupełnie pewne, czy to dobrze czy źle. Jeśli przyczynia się on do ekspansji produkcji polskiej, przy tym w towarach o dużej wartości dodanej, to dobrze. Jeśli natomiast zwiększa tylko popyt na importowane produkty, zwłaszcza konsumpcyjne, albo rozwija produkcję o małej wartości dodanej, czy wreszcie dusi polską konkurencję, to napływ taki graniczy z nieszczęściem narodowym.

Jeszcze większym nieszczęściem byłby dla Polski wzmożony napływ kapitału krótkoterminowego, spekulacyjnego, który może podciąć ją podobnie, jak to już uczynił w innych miejscach globu ziemskiego.

Osobny problem stosunków handlowo-gospodarczych Polski z Unią, stanowią Niemcy. Wśród krajów Unii są one dominującym partnerem handlowym Polski, jak też **dominującym** w jej globalnych obrotach. W zależności od roku, na Niemcy przypada niemal połowa polskich obrotów z „Piętnastką” i średnio jedna trzecia obrotów w ogóle.

Z tego też powodu Polska **musi** coś zrobić w swoich stosunkach gospodarczych z Unią, a przy okazji z Niemcami, gdyż obecny stan rzeczy nie może trwać w nieskończoność.

Czy akurat to „coś” powinno oznaczać przystąpienie Polski do Unii, to już inna sprawa.

I tak Polska, z czapką w rękę, coś tam istotnie zaczęła robić, co znalazło swój wyraz, po dłuższych i skomplikowanych negocjacjach, w podpisaniu 16 grudnia 1991 r. porozumienia o „członkostwie stowarzyszone” z EWG/Unią, zresztą niezbyt dla niej korzystnego. Potężny partner, w którego imporcie Polska nie ma nawet 1 procenta udziału, bronił się jak mógł przed rzekomym zalewem swojego rynku jej towarami, w zamian żądając wolnego dostępu do jej rynku dla swoich towarów.

Co gorsza, we wstępie do porozumienia, mimo nacisków strony

polskiej, EWG/Unia nie zgodziła się nawet na wzmiankę o możliwości przejścia Polski z członkostwa stowarzyszonego do członkostwa pełnego. Procedura ratyfikacji porozumienia wreszcie, też trwała bardzo długo, do 1 lutego 1994 r., co świadczyło o braku entuzjazmu Unii do kraju, który garnał się do jej łona jak mógł...

W końcu, coś w EWG/Unii drgnęło. Na jej kopenhaskim szczycie w czerwcu 1993 r., zdecydowano „w zasadzie” otworzyć drzwi dla kandydatów z Europy Środkowej i Wschodniej.

Polska, korzystając z tej nowej sytuacji, w dniu 5 kwietnia 1994 r. złożyła aplikację o pełne członkostwo w Unii, co po dłuższych „przepy-chankach”, skończyło się formalnym rozpoczęciem w dniu 31 marca 1998 r. „procesu negocjacyjnego”, który w najbliższych latach powinien być sfinalizowany.

Z jakim zaś skutkiem - tego **nikt** nie wie. Ledwie bowiem negocjacje rozpoczęto, a już tempo ich słabnie.

Negocjacje polsko-unijne, ze względu na ich wyjątkową złożoność, trudno omówić w największym choćby skrócie, ale na niektóre ich aspekty należy zwrócić uwagę.

Po pierwsze, Unia negocjuje **nie tylko** z Polską, ale jeszcze z pięcioma innymi krajami, a mianowicie Cyprem (grecką częścią wyspy), Estonią, Republiką Czeską, Słowenią i Węgrami, czyli 65-milionową grupą państw o różnych tradycjach i poziomie rozwoju.

Grupa ta, co gorsza, nie jest jedyną, gdyż Unia w międzyczasie „trzyma na ogniu” pięć innych krajów, Bułgarię, Litwę, Łotwę, Rumunię i Słowację, następną ponad 40-milionową grupę, która w uzyskaniu członkostwa może nawet „przeskoczyć” tą pierwszą.

Fakt, że Unia rozpoczęła negocjacje o akcesję praktycznie z 11-tką krajów, a wśród nich z Polską, jest **niekorzystny** dla perspektyw jej akcesji. Unia nie może bowiem robić żadnych wyjątków w traktowaniu poszczególnych kandydatów do jej szeregów. Co gorsza „inwazja” Unii przez co najmniej 65 milionów „nowych dusz”, a może nawet 105-107 milionów, **nie wywołuje** entuzjazmu wśród jej mieszkańców. Jeśli chodzi o Polskę, to tylko ok. 47 procent ankietowanych mieszkańców Unii jest przychylny jej akcesji (bardziej popularni są Czesi i Węgrzy). Niemcy, najważniejsi w Unii, tylko co 33-ci są przychylni polskiej akcesji do Unii, podczas gdy **połowa** jest otwarciem jej nieprzychylna.

Po drugie, fakt przystępowania do Unii „biedaków”, w stopniu i na skalę dotąd nieznana, stwarza **nowe i trudne** dla Unii problemy. Oficjalnie, Polska ma bowiem tylko nieco ponad 15 procent średniej poziomu dochodów w Unii, a uwzględniając siłę nabywczą złotego, nie

więcej niż 30-33 procent, co stwarza ogromne trudności w znalezieniu właściwych rozwiązań w dziedzinie pomocy dla niej. Nawet Grecja, najbiedniejsza w Unii, jest ponad dwukrotnie bogatsza od Polski. Skoro „na czysto”, będąc prawie 4-krotnie mniejszą ludnościowo od Polski, otrzymuje ona dziś średnio 4 mld. dol. pomocy od Unii rocznie, to ile powinna otrzymać Polska? Przecież nie 16 mld. dol. rocznie, gdyż o tym, a nawet o sumie o połowę mniejszej, nikt dotąd w Unii nawet nie mówi!

Jak długo ponadto Polska będzie doganiać Unię, żeby można zmniejszać i w końcu wyeliminować pomoc dla niej?

Wyrównanie poziomu rozwojowego pomiędzy Polską a Unią, przy obecnym 6-procentowym polskim tempie rozwoju i 2-procentowym unijnym, a przecież wcale tak nie musi być, zabrałoby ok. 30 lat... Takie prognozy, ewentualną pomoc Unii dla Polski i innych „biedaków” kandydujących do niej, komplikują niepomierne. W rezultacie, poziom pomocy, tzw. strukturalnych funduszy, jest co najwyżej dopiero w zarysach i nie ma żadnej pewności, że będzie on szybko zatwierdzony, a konkretna pomoc następnie transferowana. Już dziś jest przecież pełno „haczyków”, które taki transfer pomocy mogą poważnie zmniejszyć, albo nawet wyeliminować, a co dopiero mówić o przyszłości, gdy przyjdzie do jej realizacji! W maju br. „haczyk” taki Polska już odczuła na swojej skórze, kiedy to Unia, z programu pomocy PHARE, nie tylko obciążyła ok. 38 mln. dolarów, ale jeszcze wysunęła pod jej adresem szereg proceduralnych i innych pretensji. Wydarzenie to, bez precedensu w 8-letniej historii PHARE, może być przedsmakiem tego, co czeka Polskę w przyszłości.

Trzeba również pamiętać o tym, że warunkiem uzyskania pomocy Unii jest tzw. współfinansowanie, czyli kraj-beneficjent musi udowodnić, że z własnych środków chce sobie pomóc. A to też może być nowym „haczykiem”, gdyż zawsze można przecież powiedzieć, że „damy wam 100 milionów dolarów, jak sami sobie dacie 1 miliard dolarów”, rzecz często nie do przyjęcia w praktyce. W efekcie tego Polska może nic nie dostać...

Po trzecie, co już wywołuje przerażenie w Unii, Polska ma ludność rolniczą **równą** liczebnie ludności rolniczej w Niemczech, Anglii, Francji i Włoszech razem wziętych! Udzielanie takiemu rolnictwu pomocy z budżetu Unii, zwłaszcza w sytuacji stopniowego likwidowania „wspólnej polityki rolnej”, już dziś wywołuje panikę w Brukseli, a jutro może być jeszcze gorzej.

Po czwarte, ani Polska, ani Unia, nie wiedzą **jak** będzie wyglądać sytuacja za kilka lat, kiedy proces negocjacyjny zostanie zakończony. Jeśli Polska będzie nadal dynamicznie rozwijać się, a sytuacja poli-

tyczna będzie stabilna, to co innego, ale w przypadku załamania się jej rozwoju, czy chaosu politycznego, nie mówiąc o jakichś napięciach „nie-dobrosąsiedzkich”, rzecz bardzo możliwa, to znów co innego. W Unii z kolei, może wreszcie koniunktura poprawi się, wobec czego będzie ona mniej zaabsorbowana swoim bezrobociem, wynoszącym obecnie prawie 20 milionów, albo 25 milionów według innych obliczeń, jak też będzie mieć więcej pieniędzy w brukselskiej kasie na pomoc dla „biedaków”. Ale przecież równie dobrze może być inaczej i Unia nie będzie sobie zwracać głowy „biednymi krewnymi”.

Po piąte wreszcie, nikt w tej chwili **nie wie** jak długo potrwa omawiany proces negocjacyjny i czym się on skończy. Z Hiszpanią trwał prawie 7 lat. Możliwe, że z Polską będzie trwał krócej, ale kto to wie? I czym się on skończy? Może być przecież i tak, że będzie to, podobnie jak w NATO, kolejne „papierowe członkostwo”, obwarowane klauzulami wyjątkowymi, które pozbawia go sensu.

Na tym nie koniec wszystkich kłopotów. Polska, co trzeba podkreślić, w obecnej fazie negocjacji, właściwie jeszcze **nic** nie negocjuje, gdyż oficjalnie jest to tylko „screening”, przegląd polskiego „przystawiania” do Unii w jej prawodawstwie. Konkretnie mówiąc, Polska musi z **góry** przyjąć niektóre wstępne warunki Unii, jej „wspólnotowy nabytek”, *acquis communautaire*, który aktualnie liczy ok. 20 tysięcy różnych aktów prawnych, zapisanych na ponad 80 tysiącach stron.

I żeby na tym był koniec. Sama „wspólna polityka rolna” ma 35 tysięcy stron różnych uchwał i reguli postępowania!

Kto w Polsce przeczyta to wszystko dokładnie, co z tego zrozumie i co będzie w stanie z tym zrobić? Niby w przepisach prawnych w połowie „zgadzamy się” z Unią, ale pozostaje przecież druga połowa, a kto wie czy jeszcze ta pierwsza będzie przez brukselskich biurokratów, starych wygów, uznana za do przyjęcia. Dopasowanie polskich praw do unijnych, to proces długi, a wszelkie opóźnienia w tym względzie opóźnią proces akcesyjnych negocjacji. A w ogóle, to polsko-unijne negocjacje są kolejnym i samym w sobie problemem.

Chodzi przede wszystkim o wzajemne traktowanie się stron. Jeszcze negocjacje nie zaczęły się na dobre, a już „zagaściła się” wokół nich atmosfera.

Funkcjonariusze unijni wytykają bowiem Polakom, że to nie oni przychodzą z propozycją przystąpienia ich ugrupowania do Polski, ale odwrotnie! Polacy dla odmiany twierdzą, jak to ostatnio wykrzykiwał poseł Tadeusz Mazowiecki w Brukseli, że nie będą z Unią negocjować na kolanach!

Skoro tak, to o co tutaj chodzi, o negocjacje, czy kłótnie, może już wkrótce pełne epitetów?

Odnosnie epitetów, choć narazie tylko szeptanych, to jest to znów osobna historia.

W kularach Unii źle mówi się o Polakach. Uważa się ich za aroganckich, niesolidnych, słabych fachowców, a nawet będących tylko w ... 3-ch procentach na poziomie „inteligencji europejskiej”! Jeszcze inni szeptają, że właściwie nie wiadomo kto w Polsce rządzi, a już głośno mówią, że 35-letni szef KIE, Komitetu Integracji Europejskiej, Ryszard Czarnecki, nie mówi obcymi językami i nie ma dyplomatycznych kwalifikacji...

Innym problemem jest układ sił politycznych po obu stronach stołu negocjacyjnego.

W Polsce, formalnie przynajmniej, rządzi obecnie prawica. W Unii dla odmiany lewica. Tylko w Niemczech i Hiszpanii rządzi prawica, choć po wrześniowych wyborach w Niemczech na placu boju może pozostać tylko Hiszpania, prawdopodobnie też nie na długo. Prawica polska ponadto, to nie prawica w Unii, co dodatkowo komplikuje sprawę. Prawicowa niemiecka CSU, Unia Chrześcijańsko-Społeczna, aktualnie współpracująca z CDU, jest przeciwna polskiemu członkostwu w Unii Europejskiej!

Polacy, którzy mają o swoich zasługach w obalaniu komunizmu przesadne wyobrażenie, podobnie jak o swoich chrześcijańsko-narodowych wartościach, którymi mogliby „zasilić” Unię, trafiają tam na nieprzyjazny grunt. Nikt też w Unii nie bierze poważnie tego, co mówi polski papież, że nie ma Europy bez Polski...

Niestety, jest i będzie, co Polacy muszą w końcu zrozumieć.

Przechodząc teraz do spraw bardziej „przyziemnych”, trzeba wreszcie zdać sobie sprawę z tego co Polska może skorzystać, a co stracić, na członkostwie w Unii. W Polsce robi się nawet jakieś przymiarki pod tym względem, rachunki symulacyjne, ale przecież nikt nic dokładnie nie wie i nawet jeszcze wiedzieć nie może.

Unia, należy domyślać się, odpowiednie przymiarki już zrobiła. Dowodem tego jest fakt, że już na początku negocjacji odmawia Polsce prawa do eksportu nadwyżek siły roboczej, do czego jako członek Unii byłaby uprawniona. A wpływy z tego tytułu do polskiej kasy mogłyby być znacznie większe od wszystkich innych programów pomocy! Unia już teraz jest jednak nieustępliwa, co faktycznie stawia pod znakiem zapytania jej dobrą wolę przyjęcia Polski w swoje szeregi.

Krótko mówiąc, wszędzie tam, gdzie Unia mogłaby naprawdę





Polsce pomóc i to bardzo konkretnie, mówi twardo „Nie!”, a jeśli tak, to wszystko inne może być przysłowiowymi obietnicami-cacankami...

Nie należy wreszcie zapominać, że Polska, wchodząc do Unii, dla sprostania jej standardom i rygorom, musi od zaraz ponieść **olbrzymie wydatki**, idące w miliardy dolarów. W sumie zapewne znacznie **większe** od ewentualnej pomocy unijnej, której może w końcu nigdy nie otrzymać.

Paliw płynnych musi mieć w zapasie 3-4 razy więcej niż obecnie, a to może ją kosztować ok. 1,5 mld. dolarów, musi sama wyłożyć. Na poprawę stanu dróg kołowych, żeby sprostać standardom Unii, musi przez najbliższe 15 lat wydawać co najmniej po 1,5 mld. dolarów rocznie, a na sprostanie rygorom ochrony środowiska naturalnego, zapewne jeszcze więcej.

Skąd Polska ma brać na to pieniądze? A skąd weźmie na przebudowę rolnictwa? Liczy na co najmniej 5 miliardów dolarów rocznie, ale przecież **nie ma** pewności, że tyle dostanie. A jeśli nawet dostanie, podnosząc wydajność w rolnictwie, pozbywając się przy okazji 2/3 chłopów, to kto i gdzie ich zatrudni, albo skąd znajdą się zasiłki dla nowych bezrobotnych?

Polska jest też pod naciskiem Unii zmuszona do zrobienia „porządków” na swojej wschodniej granicy. Porządki te, to prawdopodobnie koniec handlu przygranicznego, który daje Polsce rocznie po kilka miliardów dolarów!

A tak szczerze mówiąc, to przecież **Polska pomaga Unii, a nie odwrotnie!** Mając z Unią chronicznie ujemny bilans handlowy, Polska w jakimś stopniu podtrzymuje jej koniunkturę, podczas gdy Unia „zarzyna” polską produkcję zalewem swoich towarów!

I wreszcie, czy aby naprawdę Polska negocjuje swoje członkostwo w Unii, czy tylko „partnerstwo dla członkostwa”? Unia bowiem tak to nazywa, a to jest wieloznaczne...

Uwagi końcowe

Polska **niepotrzebnie** pośpieszyła się z akcesją do NATO i Unii Europejskiej, nie mając rozeznania czym one są naprawdę, co mogą jej oferować, gdzie skomplikować jej życie, a z czego „obrać” przy okazji.

Najpierw Polska powinna była wzmocnić swoje państwowe struktury, uporządkować scenę polityczną, stworzyć, na ile to możliwe, jedność moralno-polityczną narodu, zapytać go w referendum powszechnym co myśli o sprawie, a wreszcie, zaostrzonym ołówkiem, zrobić dokładny bilans możliwych korzyści i strat z członkostwa w Unii, żeby

potem nie było przykrych niespodzianek.

Niestety, tego **nie uczyniono** i stąd mamy jeszcze jedną polską improwizację na kolejnym zakręcie dziejowym.

Przypisy:

¹ Ewentualna interwencja NATO w Serbii z powodu kryzysu w jej prowincji Kosovo może mieć nieobliczalne skutki dla stosunków międzynarodowych. USA i Anglia bowiem skłonne są użyć sił zbrojnych NATO przeciwko "nowej Jugosławii" (Serbia i Czarnogóra) bez zgody Rady Bezpieczeństwa ONZ, podczas gdy Niemcy, Francja, Włochy i Dania zajmują przeciwne stanowisko. Zdecydowanie przeciwne stanowisko zajmuje także Rosja, grożąc nawet zerwaniem swoich stosunków z NATO i powrotem do "zimnej wojny".

² Na odbytym w dniach 15-16 czerwca 1998 szczycie Unii Europejskiej w Cardiff, w Anglii, kanclerz Kohl zdecydowanie postawił sprawę redukcji wkładu Niemiec do jej budżetu. Ostateczne decyzje w tej sprawie chwilowo odłożono, ale perspektywa zrealizowania niemieckiej groźby niepomernie wzrosła.

³ Szczyt Unii Europejskiej z czerwca 1998 r., w Cardiff, w Anglii, był odbiciem pogłębiania się "eurosceptycyzmu", przede wszystkim ze strony Niemiec i Francji co może mieć fatalne skutki dla przyszłości integracji w Europie. Dla przezwyciężenia tych tendencji oraz przyspieszenia realizacji "Agendy 2000", planuje się w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy aż pięć szczytów (normalnie, szczyty odbywają się co sześć miesięcy). Więcej na ten temat wiadomo będzie dopiero po marcu 1999 roku.



Wydrukowano z funduszy Fundacji im. Tadeusza Ungara